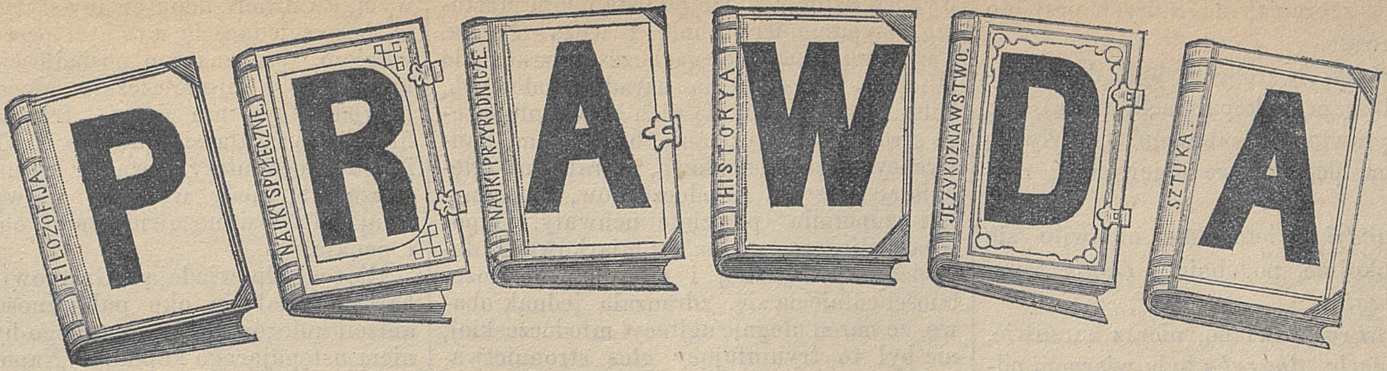
Nr. 19. Warszawa, dnia 10 Maja (28 Kwietnia) 1890 r. Rok X.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ŚWIĘTO MAJOWE.

Jeżeli Europa w dniu 1 maja spodziewała się burzy, jeżeli w bankach chroniła swe kapitały, a od rządów wymagała wzmocnienia środków bezpieczeństwa, jeżeli wreszcie nieco zdziwiona i zadowolona po owym dniu odetchnęła swobodnie, to cały jej strach tłomaczy się niewiarą do wszelkich objawów ruchu robotniczego, a z drugiej — nieznajomością haseł i zamiarów, z których wyłoniło się robotnicze święto. Niewiara jest usprawiedliwioną, gdyż — jak to wykazaliśmy niedawno — w łożysko socyalizmu wlewa się mnóstwo dopływów mętnych, za jego szeregami ciągną łupieżcy pobojowisk, rabusie i zbóje, wszelkiego rodzaju kanalia, która czatuje tylko na sposobność zamętu i walki, ażeby dogodzić swoim dzikim lub zwyrodniałym instynktom. Jednocześnie wszakże w powszechnej trwodze wyraziła się zupełna nieznajomość rzeczy. Pomysł święta majowego (mający już zresztą swoją historyę) zrodził się na kongresie podczas wystawy paryskiej, gdzie postanowiono tym sposobem wyrazić solidarność stanu czwartego w żądaniu poprawy warunków pracy, a głównie zmniejszenia jej do ośmiu godzin dziennie. Zarząd partyi socyalno-demokratycznej w Niemczech ogłosił na kilka dni przed terminem, że nie doradza swym współwyznawcom zaprzestania robót w dniu 1 maja, o ile to wprowadziłoby ich w starcie z pracodawcami i władzą. Hasło zatem, wydane dla tego święta, nie zalecało żadnych zaburzeń, a nawet powstrzymania się od pracy, lecz manifestacyę legalną i pokojową. Tak też ona odbyła się wszędzie, bez zamieszek, gwałtownych wybuchów i z bardzo ograniczonem bezrobociem. Posiadamy już wiadomości ze wszystkich krajów i ognisk życia przemysłowego, a całość obrazu niewątpliwie sprawiła na wylęknionych filistrów wrażenie djabła, który nie był tak strasznym, jak go malowano. Bo rzućmy pobieżnie wzrokiem na ten rozległy i nieznany dotąd historyi widok.

W *Niemczech*, na „klasycznym gruncie" socyalnej demokracyi, policya niewiele, a wojsko nie miało żadnego zajęcia w utrzymaniu porządku. W Berlinie wstrzymało się od pracy najwyżej 10% robotników (około 4,000). Wyćwiczeni w karności względem swych przywódców dzięki prawu wyjątkowemu, strzegli się wszelkich wykroczeń i tylko jedni w większych i mniejszych gromadach przeciągali przez miasto, śpiewając pieśni i objawiając taką zgodę z żandarmami, że od czasu do czasu wykrzykiwali na ich cześć wiwaty; drudzy znowu w towarzystwie żon i dzieci udawali się na wycieczki zamiejskie. Spokój nie został nigdzie zakłócony. Toż samo w innych miastach: Kolonii, Bremie, Chemnicu, Frankfurcie, Hanowerze, Gdańsku, Wrocławiu itd., gdzie albo pracy wcale nie przerywano, albo tylko częściowo dla pochodów, wycieczek i wieców. Największe bezrobocie panowało w Hamburgu. Ilość drobnych starć z policyą nie przewyższała zwykłej, codziennej normy tego rodzaju wypadków.

Jeżeli we *Francyi* 1 maja zabarwił się nieco żywiej, jest to naturalnym wynikiem temperamentu ludności, jej większych swobód i obfitszej warstwy żywiołów rozkładowych. Odpowiednio wszakże do natury położenia przebieg święta był bardzo spokojny i zawiódł zarówno gęsto rozsiane patrole, jak strwożone kucharki, które zaopatrzyły się na 48 godzin w żywność. Mimo pięknej pogody, zbiegowiska i wykroczenia przeciw porządkowi były w Paryżu stosunkowo nieliczne. Sklepów, nawet wielkich, nie zamknięto, zmniejszono tylko nieco wystawy. Gromada robotników chciała się przedrzeć do pałacu Elizejskiego: wstrzymano ją i rozpędzono. Natomiast Floquet przyjął deputacyę robotniczą i obiecał poprzeć jej prośbę o dzień ośmiogodzinny. Ogółem zaaresztowano około 500 niesfornych, których w znacznej części natychmiast wypuszczono. Był to rezultat pomyślny, skoro Carnot powinszował Constansowi utrzymania porządku. Gorzej zachowali się robotnicy w Marsylii, gdzie zrabowali fabrykę, w Roubaix i innych miastach prowincyonalnych, ale i te wybuchy przelotnie tylko zwichrzyły spokój publiczny.

Tenże sam temperament narodu, a zwłaszcza szeroko rozpostarte niezadowolenie w masach wywołało kilka zaburzeń we *Włoszech*. Rzym, Turyn, Medyolan, Bolonia i inne miasta musiały gasić zarzewie, podrzucane dla wzniecenia pożaru. Nigdzie jednak podżegaczom nie udało się rozpalić namiętności i wyprowadzić robotników z granic umiarkowania.

W *Hiszpanii* i *Portugalii* ruch ograniczył się do zgromadzeń, uchwał, odezw i wieńców składanych na grobach.

W *Austryi* zmieniło się bardzo nieznacznie zwykłe oblicze życia. Z wyjątkiem Prosznicy, gdzie usiłowano zdobyć więzienie dla uwolnienia aresztowanych, w innych miastach roboty zawieszone były tylko częściowo a wszędzie spokojnie. W Wiedniu, oprócz pochodów, odbyło się 60 zebrań na korzyść dnia ośmiogodzinnego. W warsztatach kolei Zachodniej sam dyrektor uwolnił pracujących na resztę dnia o godzinie 11 zrana. W dzielnicy Favoriten zebrała się na placu gromada łobuzów, którzy, oczekując na powracających robotników, zaczęli rzucać kamieniami na policyantów. Robotnicy wzięli w obronę stróżów bezpieczeństwa i rozegnali urwisów. Według raportu policyjnego nie zaaresztowano w ciągu dnia nikogo z powodu wykroczenia mającego związek ze świętem robotniczem. To też cesarz bezpiecznie przejeżdżał się po mieście. W Peszcie czeladnicy młynarscy napadli na fabrykę, uszkodzili ją i chcieli zmusić towarzyszów do przerwania pracy. Wojsko rozpędziło ich. Wiec, w którym przyjęło udział około 30,000 uczestników, odbył się wzorowo.

Szwajcarya, mimo poduszczeń anarchistycznych, nie doznała żadnego wstrząśnie-

nia nawet w biegu robót. Tu i owdzie tylko odbyły się zebrania, na których przyjęto znaną uchwałę.

W *Brukselli* bezrobocie było dość znaczne (zwłaszcza w kopalniach węgla), ale przeszło prawie bez zaburzeń. Odbyły się tylko liczne pochody ze śpiewami i muzyką.

W *Holandyi* świętowanie objawiło się słabo i spokojnie, podobnie w *Danii*, *Szwecyi* i *Norwegii*.

W *Anglii* rozprawiano, nieraz burzliwie, na meetingach; *Ameryka* była wiernem odbiciem Europy.

W objawach tedy spokojnych, w nastroju poważnym, starannie unikającym wybryków i wszystkiego, coby mogło kompromitować sprawę, przeszedł 1 maja. Robotnicy, oparłszy się pokusom anarchizmu i podszeptom rybaków mętnej wody, dowiedli zadziwiającej i chwalebnej dojrzałości, której im wszystkie rządy odmówić nie mogą. Jeżeli mimo to pewne dzienniki, dla których siłą jest skandal, głoszą „niepowodzenie komedyi,“ to zdradzają wielką płytkość sądu i przypominają ów zdziwiony wykrzyk w znanej anegdocie: „mieli gwałcić a nie gwałcą.“ Tymczasem nie mieli gwałcić, i jest to prawdziwą dla przyjaciół stanu robotniczego pociechą, że on swego święta nie zbrukał i nie skrwawił.

Z AUSTRYI.

Walki o ugodę czesko-niemiecką. — Nowa kampania czesko-niemiecka. — Pojedynki parlamentarne: Gregra z Riegerem, Dunajewskiego z Plenerem — Epilog hr. Taaffego. — Fundusz dyspozycyjny.

Wiosenny okres obrad parlamentarnych w Wiedniu rozpoczął się pod znakiem ugody czesko-niemieckiej. Zajścia w obozie czeskim, wyprzedzające rozprawy budżetowe, zgóry wyznaczyły im kierunek. Stronnictwo młodo-czeskie, skrępowane przez cenzurę w krytyce ugody, innych użyło dróg do ujawnienia swego stanowiska opozycyjnego. W Jungbunclau, gdzie odbywają się wybory uzupełniające po ustąpieniu Mattusza, wyprzągnięto konie z wozu Gregra, a w chwili, kiedy delegaci czescy wracali do Wiednia dla podjęcia narad ugodowych, Tilszer wystosował do nich w imieniu swego stronnictwa wezwanie, by zwołano konferencyę przeciwugodową, któraby, uwzględniając życzenia młodoczechów, „poprawiła i uzupełniła“ powzięte uchwały. Odpowiedź Riegera, godna i umiarkowana, dowodząca politycznej i moralnej niemożebności cofnięcia się, zdradzała jednak obawę, że naród ulegnie agitacyi młodoczeskiej; nie był to tryumfujący głos stronnictwa, które pewne jest trwałej władzy, lecz zrezygnowane oświadczenie grupy, która zdaje się na sąd publiczny.

Dyskusya generalna nad preliminarzem państwowym obracała się w kole ugody czesko-niemieckiej, co prawda swobodniej, niż poprzedzająca ją polemika dziennikarska. Nigdy może przemowy deputowanych nie zwracały się tak wyraźnie do kół pozaparlamentarnych; trybuna bowiem sejmowa — jak zaznaczył Gregr — jest jedynem dziś w Austryi miejscem, gdzie istnieje wolność wypowiadania przekonań. To też niebardzo zapewne smucił się on niepowodzeniem wielkiej swej mowy przeciw ugodzie: wiedział, iż oklaski, których mu skąpił parlament, ten obficiej dostaną mu się z kraju. Obłuda, do jakiej zniewala częstokroć dyskusya parlamentarna, sprawia, iż obrońcy sympatycznych skądinąd spraw budzą w słuchaczach niesmak. Sztuczny patos Gregra nie wzruszył nikogo, starannie przygotowywane rakiety retoryczne pękały cicho, bez efektu, mimo ratunkowych oklasków Vaszatego. Nikomu nie przypadła do gustu austryacko-patryotyczna poza dowódcy młodo-czechów. Poniósł on więc małą klęskę, lecz w tej samej chwili w Jungbunclau przy wyborach zwyciężyło jego stronnictwo, rządowe nie zdołało ocalić umiarkowanego Mattusza, a wzrastająca potęga młodoczechów i opozycya ich przeciw ugodzie zaznaczyła się w sposób dobitniejszy, niż kiedykolwiek. Zaraz pierwszy dzień obrad budżetowych okazał, że położenie parlamentarne bynajmniej nie odpowiada różowym obrazom, kreślonym przez prasę przychylną rządowi. Niezadowolenie wystąpiło na całej linii. Franciszek Weber domagał się ugody czesko-niemieckiej dla Morawii w tym duchu, aby czechom zabezpieczono przewagę w sejmie i wydziale krajowym, a Carneri, deputowany styryjski, z całą bezwzględnością wystąpił przeciw przywilejom, przyznanym posiadłościom wielkim, które w sejmie czeskim głosować mają według systemu kuryj. Ironia znanego filozofa zwracała się przeciw hr. Taaffemu i jego sztuce utrzymywania się na miejscu w czasach, kiedy wszędzie najwybitniejsi i najzasłużeńsi mężowie stanu chwieją się i padają.

Rieger, odpowiadając Gregrowi, również bardziej miał na oku publiczność czeską, aniżeli kolegów. Przemowa jego była kazaniem ustępującego kapłana. Napominał on naród do skromności i umiarkowania, ostrzegał przed ślepem szamotaniem się ze stosunkami przemożnymi, a smutne to czyniło wrażenie, kiedy przy końcu pełen rezygnacyi przypomniał swą przeszłość, powoływał się na to, iż całe swe życie poświęcił sprawie czeskiej. On mąż stanu, który niegdyś wszystkie warstwy narodu opanowywał, dziś w obronie dzieła ugodowego pomagać sobie musiał dwuznacznymi i elastycznymi zwrotami, że długa droga dzieli zasady od wykonania ich i że sejm zawsze jeszcze będzie mógł modyfikować formę uchwał. Gdy tak Rieger starał się pocieszyć czechów, którym ugoda wrzekomo tak srogą wyrządziła krzywdę, Menger wystąpił jako rzecznik rozżalonych niemców, żądając, by ustanowiono dla nich urząd osobnego ministra-rodaka. W drugiej części przemowy starał się, zwyczajem swoim, dowieść, że przewyżki, figurujące w budżecie, są mistycznemi.

Pełnej jasności nabrała obecna sytuacya dopiero z chwilą, kiedy Dunajewski przemówił w imieniu gabinetu o ugodzie czesko-niemieckiej. Już sama ta okoliczność, że on nietylko nie padł ofiarą zgody z niemcami, lecz że w krytycznej chwili wystąpił znowu jako „Sprechminister“ rządu, obniżyła wygórowane nadzieje niemców. Dla nich Dunajewski jest niejako osobistym wyrazem systemu dotychczasowego; nie zapomnieli dotychczas jego słów, iż w Austryi i bez niemców rządzić można. Dunajewski, broniąc rezultatów konferencyj ugodowych, podnosił zasługi hr. Taaffego, którego nazwał namiętnem wcieleniem spokoju i rozwagi. Niemcy, mszcząc się na ministrze, którego stanowisko znowu jest utrwalone, zarzucali mu, że przemawiał tylko, aby schlebiać prezydentowi. Plener, wystę-

---

1)

Miłość i chleb*)

przez

A. Strindberga.

Sekretarz Falk zapewne nie wiedział, jakie są ceny zboża, kiedy wybierał się do majora prosić o rękę jego córki.

— Kocham Ludwikę — zaczął.

— Ile zarabiasz? — spytał stary.

— Wprawdzie tylko tysiąc dwieście koron, ale my tak serdecznie kochamy się oboje.

— To mnie mało obchodzi, tysiąc dwieście koron, to mało.

— Mam też i inne dochody; Ludwika przecież zna moje serce...

— Nie gadaj głupstw — ile jeszcze zarabiasz?

— Spotkaliśmy się po raz pierwszy w Boo na wyspie Lidingö.

— Ile masz prócz tego? — spytał znów major i wyjął ołówkiem tak, jakby miał zamiar przebić sekretarza.

— A uczucia nasze, które...

— Ile masz prócz tego?

Major zaczął coś kreślić po bibule.

— O, z pewnością mi nie zbraknie, jeżeli tylko...

— Odpowiesz, czy nie! Ile zarabiasz obok tego? Cyfr chcę, cyfr i faktów!

— Tłomaczę po 10 marek za arkusz, udzielam też lekcyj języka francuskiego, mam obiecane korekty...

— Obietnice nie są faktami. Cyfr, chłopcze, cyfr! No, teraz będę notował. Jakie masz przekłady?

— Jakie mam przekłady? Tego nie mógłbym powiedzieć na razie.

— Nie możesz powiedzieć? Wszak mówiłeś przed chwilą, że masz przekłady do roboty, czyż nie chcesz mi zaufać, jakie mianowicie?

— Tłomaczę na język szwedzki Guizota *Historyę cywilizacyi*, dwadzieścia pięć arkuszy.

— Po dziesięć koron arkusz, to razem 250 koron. A potem?

— Potem? No, tego z góry wiedzieć nie można.

— Otóż to! Z góry wiedzieć nie można! Myślisz pewnie, że człowiek żeni się po to tylko, ażeby spędzić czas o ile możności najprzyjemniej! Nie, mój chłopcze, za dziewięć miesięcy przychodzą dzieci, chcą jeść i ubrać się...

— Przecież nie zawsze zaraz są dzieci, kiedy kto tak się kocha, jak my...

— Do pioruna — jak wy się kochacie?

— Jak my się kochamy... (Kładzie przytem rękę na serce).

— Czy nie ma dzieci, kto się tak kocha, jak wy? Szalapucie jakiś! To wyborne, doprawdy! Ponieważ jednak jesteś porządnym chłopcem, więc zaręcz się. Ale użyj czasu przedślubnego na wyszukanie sobie chleba, nadchodzą bowiem ciężkie czasy, ceny zboża idą w górę...

Słysząc taki wniosek, sekretarz Falk poczerwieniał na twarzy, ale radość jego z otrzymania Ludwiki tak była wielką, iż wzruszony ucałował rękę starego. Boże święty, jakże był szczęśliwy! A jak szczęśliwą jego Ludwika! Gdy poraz pierwszy spacerowali po ulicach, wszyscy spoglądali na nich. Rzekłbyś, że ludzie stają, aby utworzyć szpaler, niby straż honorową w ich pochodzie tryumfalnym. Z taką szli dumą!

Wieczorem przychodził do niej; siadali w salonie i czytali korekty. Według starego był to dzielny człowiek. Kiedy skończyli, narzeczony mówił do narzeczonej: „zarobiliśmy trzy korony!“ Pocałunkiem przypieczętował pracę. Następnego zaś wieczoru wybierali się do teatru i przyjeżdżali z powrotem, co kosztowało dziesięć koron.

Czasem, kiedy Falk wieczorem miał lekcyę — czego się nie czyni z miłości? — wymawiał się pod pierwszym lepszym pozorem i przychodził do swojej Ludwiki.

*) Ze zbiorku nowelisty szwedzkiego, który w dwunastu obrazach przedstawił małżeństwo.

pując zaraz po Dunajewskim, wykazał, jak rozmaicie pojmuje polityczne następstwa ugody rząd a opozycya. Pierwszy twierdzi: ugoda urzeczywistniła program ministeryum; druga odpowiada: ugoda dowodzi, że program ministeryum urzeczywistnionym być nie może. Jedynym dobroczynnym skutkiem jest rozdział narodowości, które nadal samoistniej będą się mogły rozwijać. Gdyby rząd miał przekonanie, że układ jest dziełem o wewnętrznej, trwałej wartości, byłby nie krępował swobody krytyki. Tymczasem oddał on ugodę w opiekę policyi, co do reszty zniweczyło dobrą reputacyę tego aktu politycznego, a opozycyę młodoczechów spotęgowało groźnie. Kończąc przemowę swą, Plener jasno zaznaczył przyszłą rolę stronnictwa niemiecko - liberalnego. Wbrew oczekiwaniu tego stronnictwa, hr. Taaffe nie wyciągnął konsekwencyj z ugody czesko-niemieckiej na polu polityki wewnętrznej; po zwołaniu Rady państwa pierwszym jego krokiem było porozumienie się z większością dotychczasową i odnowienie owej organizacyi wojennej, która, według Dunajewskiego, rządzi bez niemców, w rzeczywistości zaś przeciw niemcom. Krok ten ułatwił stronnictwu wiernokonstytucyjnemu zoryentowanie się w sytuacyi i określił jego stanowisko: skoro na nowo powstaje organizacya przeciw niemcom, to pozostać oni muszą stronnictwem opozycyjnem.

Pojmując dobrze praktyczną doniosłość takiego oświadczenia, hr. Taaffe zdecydował się wystąpić. Przed głosowaniem nad funduszem dyspozycyjnym sam przemówił o ugodzie czesko-niemieckiej. Bronił się przeciw zarzutowi, jakoby rząd nie miał był zamiaru i chęci pogodzenia stronnictw, zanim cesarz wyraźnie tego zażądał. Nie zaprzeczył wprawdzie, że żądanie to było decydującem, atoli stwierdził, że było ono wygłoszonem już przed jedenastu laty, kiedy gabinet obecny obejmował rządy. Wszelkie jego usiłowania skierowane były ku zgodzie, ale ona nie zależała od rządu, jeno od woli stronnictw, a rządowi przypadło tylko zadanie torowania dróg. Doprowadził wreszcie do tego, że nastała ugoda w zasadzie; o szczegółach rozprawiać należy w sejmie czeskim, którego obrad tegorocznych wszystkie w państwie stronnictwa wyczekują z utęsknieniem. Co do niemców i ich żalu, że zadano im nowe rany, zamiast koić dawne, to trudno uwierzyć, aby rany te mogły być głębokie w stronnictwie, które tak rubasznie występować umie. W końcu hr. Taaffe prosił parlament o przyznanie rządowi funduszu dyspozycyjnego. Odpierając zarzut często powtarzany, że ataki prasy na stronnictwo liberalne wypływają z natchnienia rządu, dowodził, że kwotą 50,000 złr. bardzo mało zdziałać można na polu dziennikarstwa wiedeńskiego. A chociaż oświadczył, że przyznania funduszu dyspozycyjnego nie uważa za dowód zaufania dla rządu, stronnictwo liberalne odmówiło mu go jak w latach poprzednich ze względów politycznych, a jedynie pomoc klerykałów, którzy w ostatniej chwili dali się nakłonić do solidarnego z prawicą głosowania, drobną większością ocaliła ten dar dla hr. Taaffego.

L.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Cesarz Wilhelm sam otworzył posiedzenia nowego sejmu niemieckiego mową tronową. Mowa ta, pierwsza bez Bismarka i zwrócona do ciała, złożonego przeważnie z „Reichsfeindów,“ budziła wielką ciekawość, która, jak zwykle, zawiodła. Wilhelm II powtórzył znowu, że jest stróżem pokoju, którego potrzebę zdołał wpoić w rządy europejskie; że będzie szanował traktaty, zawarte „w celach obronnych“ i że wszystkiemi mocarstwami utrzymywał stosunki przyjacielskie. Sprawie robotniczej poświęcił obszerniejszy ustęp, wyrażając nadzieję, że ją zdoła rozwiązać w granicach prawa, oraz zadowolenie z wyników międzynarodowej konferencyi berlińskiej. Przedewszystkiem chodzi o wypoczynek świąteczny, ograniczenie pracy kobiet i dzieci, o ubezpieczenie robotników od wypadków, o poprawę regulaminu, zaprowadzenie sądów rozjemczych i wzmocnienie powagi rodzicielskiej. Ale i ta pieśń humanizmu miała swoją zwykłą strofkę końcową z żądaniem nowych zasiłków na pomnożenie armii. Państwa ościenne jakoby prześcignęły pogotowie zbrojne Niemiec; ażeby im dorównać, potrzeba dodatku 18 milionów marek. Rozumie się, że za rok lub dwa Niemcy znowu będą zdystansowane w wyścigu militarnym, znowu zażądają milionów i tak dalej do nieskończoności a raczej skończoności „utrwalonego pokoju.“

O Bismarku ani słowa, pomimo że pochowanemu „pogrzebem pierwszej klasy“ należało się przecież cmentarne wspomnienie. Widocznie stary grzesznik, który siedzi na pokucie we Friedrichsruh, przeżuwając gniew bezsilny, za zbyt dokuczył cesarzowi swem stękaniem i fukaniem w telefon gazety hamburskiej. Niedawno ogłosił, że intryganci, którzy kopali doły między nim a monarchą, obwinili go przed nim, że jest morfinistą i skutkiem tego stracił władzę wiązania myśli; a chociaż plotce tej zaprzeczył pytany dr. Schwenniger, widocznie uwierzono jej. Jakże biednym jest Bismark, kiedy taką paplaninę wydobywa na widok publiczny!

Boulanger zniknął z Yersey i miał wylądować we Francyi, stanąć przed sądem i zażądać wznowienia procesu. Może i miał ten zamiar, ale gdy wybory do rady Paryża przyniosły sromotną porażkę jego poplecznikom, wolał ominąć sposobność dobrowolnego męczeństwa, które w każdym razie pachniało mu kozą bez szerokiego współczucia i bez opieki nawet radców municypalnych. Dzięki owej porażce bulanżyzm topnieje z nadzwyczajną szybkością.

Agitacya młodo-czechów przeciwko ugodzie z niemcami znalazła przyjaźniejszy grunt w kraju, niż się spodziewano. Protesty mnożą się ustawicznie, a sami staroczesi zaczynają rejterować pod zasłoną wymówki, że zawarty przez nich układ był jedynie tymczasowym.

Prezydent Rady państwa, Fr. Smolka, odzyskał nieco siły i wszedł w pomyślniejszy okres choroby nie o tyle wszakże, ażeby znajdował się już po za niebezpieczeństwem.

Crispi przegrał sprawę funduszów dobroczynnych w senacie. Nieprzyjazny dlań wynik głosowania dodał mu odwagi do... ponownego załatwienia jej w Izbie deputowanych. Skacze, jak może, na chwiejącym się mu pod nogami gruncie, gotów już zmniejszyć wydatki na wojsko, które mu niepotrzebne w poprzedniej liczbie do zasłużenia na względy „przyjaciela“ z Friedrichsruh, ale prawdopodobnie nie ocali go ani uległość, ani spóźniony rozum.

Zbliżało się wesele. Poszli do składu dla wybrania mebli. Zaczęli od najważniejszego. Ludwika nie chciała być obecną przy kupowaniu łóżek, ale stało się jakoś tak, że była. Naturalnie potrzebowali dwu łóżek, koniecznie z prawdziwego drzewa orzechowego, a materace z czerwonemi obwódkami i na sprężynach, poduszki z puchu. Każde też z nich musiało posiadać kołdrę. Ludwika chciała mieć niebieską, bo była blondynką.

Udali się więc do wielkiego magazynu Lei. Najprzód naturalnie wybrali różową lampkę nocną do sypialnego pokoju i posążek Wenery z jakiejś masy, potem serwis stołowy, z każdego gatunku szklanek szlifowanych po kilka tuzinów; noże i widelce z cyframi. W końcu przyszła kolej na statki kuchenne, ale w tym względzie niezbędną była pomoc matki.

O, Boże kochany, czego wówczas nie miał do załatwienia biedny narzeczony! Akceptował weksle, biegał po bankach, sprowadzał rzemieślników, szukał mieszkania i zakładał firanki. Zalegał w robocie biurowej — ale jak tylko się ożeni, powetuje wszystko — tak myślał.

Na początek chcieli wynająć tylko dwa pokoje, bo mieli zamiar być „rozsądnymi.“ A ponieważ dwa tylko były pokoje, można je przeto było urządzić tem piękniej. Znalazł mieszkanie złożone z dwóch pokojów, kuchni i alkowy, na pierwszem piętrze, za 600 koron. Kiedy Ludwika zrobiła uwagę, że również chętnie wzięłaby trzy pokoje z kuchnią na czwartem piętrze za 500 koron, popadł w pewne zakłopotanie. Bo i cóż to wszystko znaczy, skoro tylko młodzi kochają się szczerze? I Ludwika wreszcie tego samego była zdania.

Niezadługo pokoje były w porządku, a sypialnia podobną do małej świątyni. Oba łóżka stały tuż przy sobie, niby dwie karety, w których mieli przebyć drogę życia. A słońce oświecało kołdrę niebieską, śnieżno-białe prześcieradła i poduszki znaczone przez starą ciotkę dużemi literami z krzewów różanych, które, splecione razem, wyglądały jak gdyby we wspólnym uścisku. Dla pani urządzono małą alkowę, z parawanem japońskim, a pianino, kosztujące 1,200 koron, ustawiono w salonie, który był jadalnią, pracownią i bawialnią zarazem. Tam też było i jego biórko z prawdziwego drzewa orzechowego, duże lustro podłużne, stół i stolik. Zdawało się, że zamieszkują tu ludzie, którzy byli w stanie prowadzić życie spokojne i wygodne.

Nadeszło wesele; było to w sobotę wieczorem. Potem nastąpił poranek niedzielny. Co za życie! O, jakże pięknie być po ślubie! Co za pyszny wynalazek małżeństwo! Można robić, co się podoba, a potem jeszcze przychodzą z powinszowaniami rodzice i rodzeństwo.

O dziesiątej rano w sypialni jeszcze było ciemno. Młody małżonek nie chciał jeszcze otworzyć okiennic dla światła dziennego; zapalił lampę różową, a ta blask swój czarujący rzucała na niebieską kołdrę i białe prześcieradła. Wenus w różowem oświetleniu patrzy wyzywająco i śmiało. Tam spoczywa piękna młoda żona, tak mile zmęczona, ale tak szczęśliwa, jakby to była pierwsza noc w jej życiu, w której spała spokojnie. Nie słychać turkotu na ulicy, wszak dziś niedziela, a dzwony brzmią z takim tryumfem, tak radośnie, jakby chciały zwołać ludzkość całą, aby podziękować temu, który stworzył mężczyznę i kobietę. On jej szepcze do ucha, aby się odwróciła, bo chce wyjść i zamówić śniadanie. Ona główkę ukrywa w poduszkach, podczas gdy on wchodzi za parawan, żeby cokolwiek się ubrać.

Idzie do sali, gdzie słońce szeroką smugę promienną rzuca na podłogę. W pierwszej chwili nie wie, czy to wiosna, lato, jesień lub zima, wie tylko, że niedziela. Czuje, że jak cień ponury znika przed nim epoka kawalerska, że w nowem mieszkaniu oddycha powietrzem dawnego gniazda swego i gniazda przyszłych dzieci swoich.

Jakąż też ma siłę! Przyszłość wydaje mu się coraz bliższą, chwiejącą się górą. Śmiało idzie na jej spotkanie, góra, niby piasek, rozpada się u jego nóg, on zaś z młodą swą małżonką na ramieniu mknie ponad kominami i szczytami dachów.

Podnosi części swego ubrania rozrzucone po podłodze, biały krawat swój spostrzega na ramie obrazu, gdzie usiadł jak motyl.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ŚWIADOMOŚĆ W ROZWOJU SPOŁECZNYM.

II. Synteza przyszłości.

Zbytecznem byłoby dowodzić, że dzieje rozwoju społecznego nie zakrzepły już ostatecznie na dniu dzisiejszym i że obecne ukształtowanie stosunków gromadzkich jest tylko jednem z ogniw dalej podążającej ewolucyi. Rozwój ten odbywa się poprzez zapasy pojedynczych warstw. Każda grupa społeczna stawia pewne żądania odpowiednio do swoich widnokręgów materyalnych, teoretycy zaś wiążą je w pewną syntetyczną całość, w której streszczają ogół dążeń i idej, zrodzonych przez warunki przedmiotowe. Ideolodzy drobnej uprawy rolnej i warsztatu rzemieślniczego, obrońcy uprzywilejowanej wielkiej własności ziemskiej, rzecznicy kapitału, obrońcy pracy, wszyscy pielęgnują swoje ideały.

W artykule poprzednim zauważyliśmy, że nie każda jednak idea może mieć nadzieję wcielenia się w życie. Otóż zachodzi pytanie, które z dzisiejszych dążeń mogą spodziewać się w większym stopniu, niż inne. Wraz z tem wkraczamy w zakres drugiego zagadnienia, mianowicie, w jakim kierunku podąża nowoczesny rozwój społeczny.

Nie potrzeba zbyt wielkiej przenikliwości, aby spostrzedz, że produkcya na wielką skalę stanowi coraz wybitniejsze znamię tegoczesnej fali rozwojowej. Wciska się ona wszędzie i przybiera coraz potworniejsze rozmiary, postęp zaś jej jest zrozumiały, jeśli zauważymy, że zwycięża taniością swego wytworu. Dość przyjrzeć się chociażby zniżeniu, dzięki kolejom żelaznym, kosztów przewozu i przejazdu, aby ocenić skutki płynące z tego źródła. I właśnie dla tej to przyczyny cały ogół społeczny przykłada gorliwie acz nieświadomie rękę do dalszego rozwoju w kierunku wielkiej produkcyi. Drobny szewc, który gardłuje przeciwko kapitalizmowi (pamiętajmy, że nie stosunek kapitału do pracy, lecz jedynie metody produkowania rażą go w tym ostatnim), mimo swojej zaciekłości będzie kupował tam, gdzie taniej i w krajach rozwiniętych ekonomicznie nabywał wyroby wielkiego przemysłu, przyczyniając się do rozrostu potworu, który go połknie. Ideolog drobnej własności, pochłonięty obroną jej na papierze i żywiący pogardę ku wszystkim, którzy wykazują, że osada chłopska uniemożliwia nietylko wiedzę, lecz i dobrobyt materyalny, podobnie całem swem postępowaniem życiowem szczepi znienawidzony kapitalizm, od którego tymczasem odbija fala wymienna, co niszczy gospodarkę naturalną i oddaje chłopa na pastwę lichwy. Słowem, ogół najrozmaitszych faktów zmusza nas do przyjęcia, że rozwój wielkiego przemysłu jest koniecznością. Naturalnie nie pozostaje to bez dalszych skutków. Mianowicie, powołane przezeń siły wytwórcze poczynają wyłaniać odpowiednią łunę ideologiczną. Przypatrzmy się nieco tej sprawie. Oddanie pracownikowi na bezpośrednią własność prywatną wytworu jego pracy jest żądaniem, nieodłącznem od demokratyzmu drobnomieszczańskiego. Marzenie to, możliwie w rzemieślniczo-włościańskich sferach technicznych, staje się sielanką nie do urzeczywistnienia przy stosunkach, wytwarzanych przez wielką produkcyę. Weźmy np. fabrykę mechaniczną. Dla wykończenia maszyny potrzeba tutaj współudziału kilku dziesiątków czynności. Cały personel, pracujący nad tym przedmiotem, jest jakby jednym olbrzymim organizmem o kilkudziesięciu głowach, ożywionym tą samą chęcią wydania pożądanego rezultatu. W jakiej części maszyny została wcieloną pojedyncza praca i jakim sposobem oddać tutaj pracownikowi na wyłączną własność to, co wykonał? Wytwór ostateczny jest płodem wysiłku zbiorowego, w którym niknie każdy trud jednostkowy. Możliwe są tutaj jedynie formy własności nie nie mające wspólnego z ideałem Proudhonowskim. Sami pracownicy, zorganizowani np. w demokratyczne stowarzyszenie spółdzielcze, jako grupa społeczna, mogą pozbyć się wytworu swojej zbiorowej pracy i dopiero przysądzić każdemu z pośród siebie na własność prywatną część odnośną z otrzymanego równoznacznika pieniężnego; to znowu jako przedstawiciel zrzeszenia może wystąpić kapitalista i zabrawszy lwią część z cudzej pracy spełnić czynność społeczną wyznaczenia każdemu jego części. Są to jedynie możliwe stosunki prawne, najzupełniej obce stanowisku drobno-mieszczańskiemu; demokratyzm też na wielko-produkcyjnem stanowisku wyłania odpowiednią ideę: własności zbiorowej. Albo weźmy inny wypadek. Przypuśćmy, iż jakiś marzyciel, wychowany w ideach solidarności, jął się szerzyć zrzeszenie pracy wśród chłopstwa i rzemieślników. Naturalnie, w swych usiłowaniach będzie zmuszony bezustannie odwoływać się do uczuciowości, rzadziej do rozumu. „Jak to pięknie i uroczo wyglądałoby razem pracować! Jak to korzystnem byłoby, zamiast kilkunastu, mieć jedną zbiorową oborę!“ Te głosy mogą trafić do przekonań jednej i drugiej osoby, wrażliwszej umysłowo lub łacno poddającej się hypnotyzowaniu, lecz reszta odpowie w podobny sposób: „wszystko to wygląda ładnie, ale nam milej pozostać przy dawnem!“ Przyjęcie odnośnych sposobów życia zależy tu nawskróś od istnienia odpowiednio ukształtowanych charakterów i samo ukazanie się urządzeń takich będzie jedynie wyładowaniem szczególnych natur antropologicznych. Inaczej rzecz wygląda, jeśli przejdziemy do wielkiej produkcyi, chociażby do kolei żelaznej. Tysiące osób są tutaj zatrudniane według pewnego planu. Zrzeszenie wysiłków, hierarchia czynności, karność, są to nieodłączne od tego przedsiębiorstwa zjawiska. Niech jakaś natura antropologiczna zżyma się w uściskach tego zrzeszenia, nic to jej nie pomoże, konieczność bowiem techniczna zmusza wszelkie charaktery do ułożenia się w odpowiednie ramki. Co najwyżej, można zrzeszenie oprzeć na zasadzie demokratycznej, zarząd powołać z wyboru, zasady posłuszeństwa dać do zaglosowania pracującemu ogółowi, wszystko to wszakże nie zmienia postaci rzeczy, lecz tylko przekształca właściwą obecnemu czasowi formę polityczną skupienia służby kolejowej. Nie będziemy podobnie rozbierali innych skutków wielkiej produkcyi, tembardziej, żeśmy to już czynili w pracy *Wśród tegoczesnej fali społecznej* i zamierzamy kończyć w dalszym jej ciągu; zaznaczymy jedynie, że wzięliśmy poprzednie przykłady dla wykazania, jak demokratyzm, liczący się z rozwojem nowoczesnych narzędzi pracy, odrazu musi przyjąć szczególną barwę. Natomiast zajmiemy się czemś innem. Zamiast przyglądania się pojedynczym wytworom ideowym, wysnuwanym przez wielką produkcyę, weźmiemy kilka szerokich dążności, właściwych temu podkładowi, i rozważmy, jak wyglądałoby społeczeństwo, gdyby one doszły do zapanowania na całym obszarze społecznym.

Idzie do kuchni. O, jakże wspaniale błyszczą i iskrzą się nowe naczynia miedziane i rondle cynowe! Wszystko to należy do niego i do niej! Woła kucharkę, która przychodzi w spódnicy. Dziwi się, że to nie robi na nim wrażenia. Ale ona jest bezpłciową dla niego, dla niego jedna tylko istnieje żona. Czuje się czystym, jak ojciec wobec dzieci swoich. Każe jej iść po śniadanie do restauracyi pod „trzema rzymianinami,“ ale ma być zaraz i z całą wystawnością. Restaurator już wie, jak ma być, niech mu się tylko pokłoni od pana swojego.

Potem idzie od drzwi pokoju sypialnego i puka.

— Czy wolno?

Lekki okrzyk, a potem:

— Nie, mój przyjacielu, poczekaj trochę.

Tymczasem sam nakrywa do stołu. Kiedy przynoszą jedzenie, sam je układa na nowych talerzach. Serwety składa z całą elegancyą i przemywa kieliszki do wina. Przed nakryciem jego żony jaśnieje bukiet ślubny. Kiedy sama ona ukazuje się w haftowanym szlafroczku porannym i pada ją na nią promienie słoneczne, omdlewa na chwilę, tak, że mąż w fotelu przysuwa ją do stołu. Prędko nalewa trochę wódki, podaje bułeczkę z kawiorem — to pomaga. O, jak to doskonale! Wszak po ślubie wolno robić, co się żywnie podoba! Pomyśl tylko, coby powiedziała mama na widok córki, pijącej wódeczkę! A on jej usługuje, biega i skacze, zupełnie jakby jeszcze był narzeczonym. Po takiej nocy co za śniadanie! A nikt niema prawa źle mówić o tem! Co za rozkosz!

Często już bywał na tego rodzaju śniadaniach, ale jakaż różnica! Niechęć, niepokój— wszystko to dziś go odbiegło! A gdy ostrygi zapija szklanką prawdziwego porteru, niema dosyć słów na wyrażenie pogardy dla wszystkich wogóle kawalerów. Wystaw sobie, co za głupi ludzie, którzy nie żenią się. Egoistów takich należałoby obłożyć podatkiem, jak psów! Ale młoda żona ośmieliła się zwrócić uwagę — w sposób jednak najbardziej delikatny i przyjacielski — iż biedacy, którzy nie są w stanie żenić się, godni są pożałowania, gdyż, gdyby mogli, z pewnością wszyscy by to uczynili. Sekretarz poczuł ukłucie w samo serce, zamyślił się na chwilę, podczas gdy przedtem swawolnym był, jak dziecię. Wszak całe szczęście jego polegało na kwestyi ekonomicznej, a jeżeli, jeżeli... Ba! kieliszek burgundzkiego! Zaraz zacznie pracować — zobaczą wszyscy!

Teraz z kolei przychodzi kapłon pieczony z doskonałemi borówkami i ogórkami. Młoda żona, zdziwiona nieco tą ucztą wystawną, kładzie mu drżącą rękę na ramieniu i pyta: „Serce drogie, a czy możemy sobie pozwolić na to?“ Szczęściem powiada *my!*

— Raz jeden nic nie znaczy! — odrzekł. Na śledź z kartoflami dosyć jeszcze mamy czasu!

— Czy naprawdę jadasz śledź z kartoflami?

— I jak jeszcze!

— Zapewne, kiedy z ciężką głową wracasz do domu i masz potem befsztyk *à la* Chateaubriand.

— Nie mów tego! Twoje zdrowie! Kapłon był bez zarzutu! A karczochy!

— Doprawdy, że cię nie pojmuję, Gustawie, karczochy o tej porze! Muszą być bardzo drogie?

— Czy nie dobre? Oto przecież głównie chodzi. A teraz wina kieliszeczek! Więcej wina! Czy nie podoba ci się to życie? O, cudnem, cudnem jest ono!

Punktualnie o szóstej elegancki powóz zajechał przed bramę. Młoda żona nie wierzyła oczom własnym. A jak miłą była jazda do Zwierzyńca, podczas której siedzieli przy sobie, na wpół leżąc i zlekka kołysząc się...

„Zdaje się, jakgdybyśmy razem w jednem leżeli łóżku“—szepce żonie do uszka, ale dostaje za to parasolką po ręku. Spotykani po drodze znajomi kłaniali im się, a koledzy, podnosząc ręce, zdawali się mówić: „Ha, ha, filucie, ożeniłeś się z posagiem!“ O, jakże małymi byli przechodnie, jak równa droga i jak lekką jazda na poduszkach. Tak będzie trwało zawsze!

(D. n.).

Przedewszystkiem zatrzymamy się nad prądami, które spostrzegamy wśród przedstawicieli przymusowego zrzeszenia. Jak wiadomo, centralizacya zarówno w zakresie produkcyi jak i wymiany szerzy się coraz bardziej, tak, iż ekonomia mieszczańska zaczyna przebąkiwać o tem, że nastaje era monopolu. Przedstawmy sobie mniej więcej czworobok, ograniczony ulicami Hożą, Kruczą, Wspólną i placem Aleksandra i wyobraźmy sobie, że wszystkie domy od dołu do góry są jednym olbrzymim sklepem, w którym można dostać wszystkiego, który wysyła na listowne zamówienie i swoim kosztem towary w różne zakątki kraju, a otrzymamy niejakie pojęcia o nowoczesnych magazynach w rodzaju paryskiego *Au bon marché*. Magazyn taki, sprzedający rocznie samych rękawiczek za kilka milionów franków, daje zajęcie wielu fabrykom, które pracują jedynie dla jego kundmanów. W ten sposób produkcya zostaje regulowana i stale zjednoczona ze szczególnem jednocześnie hurtownem i detalicznem pośrednictwem kupieckiem. Gdzieniegdzie mamy już dalsze objawy tej dążności. *Times* posiada własne plantacye w Egipcie i wyrabia papier w własnej papierni, odlewa czcionki w własnej giserni, itd. W amerykańskiem tkactwie można też zauważyć dążność do tego, aby przerabiać bawełnę z własnych plantacyj i sierść z własnych trzód, z tkaniny wyrobionej wytwarzać w ciągu dalszym bieliznę i odzież i sprzedawać w własnym magazynie. Prąd ten, zmierzający do połączenia w jednem przedsiębiorstwie różnych szczebli produkcyjnych, rozszerza się coraz bardziej. Jednocześnie widzimy inny, łączący przedsiębiorców tego samego fachu w wielkie związki kartelowe dla usunięcia wzajemnej konkurencyi i utrzymania wspólnemi siłami produkcyi na poziomie najlepszych środków technicznych. Weźmy jeden z najwyżej posuniętych wzorów tego rodzaju: *trust* cukrowarów z wschodnich stanów Związku amerykańskiego. Kartel ów jest połączeniem mnóstwa cukrowni (85% całej produkcyi Wschodu!) w jedno olbrzymie przedsiębiorstwo, pojedyncze zaś zakłady są tutaj tylko odrębnymi warsztatami większej całości. Jeśli zważymy, że na Zachodzie powstał podobny *trust*, zrozumiemy, że cała produkcya cukru znajduje się niemal w ręku dwóch firm. Podobnie cała produkcya nafty jest już dzisiaj w Związku ześrodkowana niemal w ręku jednej firmy: *trustu* nafciarskiego. Gdybyśmy te różne dążności świata kapitalistycznego, będące wszakże naturalnem następstwem wolnej konkurencyi, powiązali w syntetyczną całość, gdybyśmy przyjęli, że rozwój wciąż będzie szedł w tym samym kierunku (natura nowoczesnych środków technicznych zupełnie sprzyja temu), wtedy w ostatecznym wyniku otrzymalibyśmy szczególny obraz. Całe fachy przemysłowe (np. górniczy, mechaniczny, tkacki) znajdowałyby się w ręku jednego lub kilku stowarzyszeń akcyjnych, związanych nawzajem umową kartelową. Różne stopnie, przez które przebiega wytwór: uprawa bawełny, tkactwo, krawiectwo zespoliłyby się również. Olbrzymia ta centralizacya sprowadziłaby odpowiednie rozmieszczenie produkcyi: zamiast mnóstwa oddzielnych zakładów powołałaby do życia jeden olbrzymi lub kilka, stosownie umieszczonych w obrębie kraju; ześrodkowałaby zakłady mechaniczne przy kopalniach rudy; zamiast tysiąca kramików wzniesionoby potwornej wielkości magazyny. Podobne porządki w zakresie produkcyi spowodowałyby w ciągu dalszym usunięcie bezrządu rynkowego, utrwalenie skali zarobkowej, celowe prowadzenie zrzeszonej pracy w obrębie całego społeczeństwa, zamianę dowolnej wymiany przez szczególne instytucye. Słowem, otrzymalibyśmy ideał społeczny skreślony przez rodbertusowca M. Wirtha w *Drei deutsche Meister*. Z czasem te różne jeszcze niezależne grupy mogłyby zlać się w jedno przedsiębiorstwo akcyjne i przeszedłszy pod zarząd państwa stworzyć szczególne państwo biurokratyczne lub też oligarchię respublikańską na tułowie niewolniczem mas pracujących. Dostajemy w ten sposób, stojąc na gruncie przymusowego zrzeszenia i i narzuconej hierarchii, rodzaj kraju-folwarku (wyrażenie, któremu nie nadajemy na razie określonej zawartości), gdzie wola ludzka na całym obszarze świadomie i jednolicie prowadzi produkcyę.

A teraz zwróćmy się ku wzorom demokratycznym, lecz równie związanym z nowoczesnemi siłami wytwórczemi. Weźmiemy stowarzyszenia spożywcze, owego Benjamina najrozmaitszych kierunków krom socyalizmu naukowego. Nie będziemy przebiegali odrębnych a kolejnych ogniw rozwoju i spojrzymy jedynie na stosunki wyłonione przez *Wholesale Society*. Zjednoczono tutaj kilkaset tysięcy ludzi; stowarzyszeni spożywcy wytwarzają, co chcą, sami dla siebie w własnych zakładach produktu na sumę 50 milionów franków i wypowiadają dalsze życzenie: wytwarzania wszystkiego, co potrzeba. Spodziewają się oni, że związek obejmie z czasem całą Anglię i odpowiednio zorganizuje produkcyę na obszarze całego kraju. Wyobraźmy sobie ów ideał ziszczony (i to według dzisiejszej ustawy, gdzie pojedyncza akcya jest niewielkiej wartości i każdy akcyonaryusz posiada jeden głos bez względu na ilość udziałów), a dziwny widok przedstawi się oczom naszym. Własność prywatna istnieje z dzisiejszemi różnicami w rozmiarach, ale w postaci akcyj, wszystkie zaś majątki i zakłady zatarły się w ogromnem połączeniu. Zorganizowany na demokratycznej podstawie ogół spożywców wyłania z siebie zarząd, który kieruje rozmieszczeniem wytworów według żądania; warstwa kupiecka wraz ze sklepami jest tutaj zbyteczna, natomiast ukazują się olbrzymie magazyny składowe z odpowiednią organizacyą. Władze centralne, wiedząc ile i jakich wychodzi przedmiotów w określonym przeciągu czasu, odpowiednio regulują samo wytwarzanie. Produkcya, kierowana przez tę samą wolę i według jednolitego planu na całym obszarze społecznym, przyjmuje uproszczoną postać. Doliny rzeczne są każda jedną olbrzymią łąką, uprawianą według wskazówek odpowiedniej inżeneryi; zakłady mechaniczne kraju zostają połączone w kilka olbrzymich zakładów w pobliżu kopalni — itd. Otrzymujemy znowu pewien „kraj-folwark," lecz z odmienną ustawą prawno-polityczną, gdyż ogół społeczny spożywców panuje nad kapitałem, któremu wydziela część niejaką z wytworu narodowego jako procent i nawet z czasem może urzeczywistnić odpowiedni wykup na rzecz społeczeństwa.

Wzięliśmy dążności, zrodzone na podkładzie wielkiej produkcyi i usiłowaliśmy zbadać, jakie ustroje ukażą się, jeśli one dojdą do pewnego stopnia rozwoju. W rezultacie otrzymaliśmy zawsze olbrzymią centralizacyę ekonomiczną i zrzeszenie. Ale odpowiednio do potęg, które je przeprowadzają, a więc czy będzie to samowładny kapitalista lub demokratyczny spożywca, forma prawno-polityczna przyszłości przedstawia inną postać. To samo otrzymalibyśmy, biorąc jakieś inne dążności dojrzewające wśród wielkiej propukcyi, np. najmickie. Zawsze grunt techniczny pozostałby podobny i różnice wszystkie tyczyłyby się szaty prawno-politycznej. Cóż jednak z tego wynika? Wiemy, że wielka produkcya wzrasta i wytwarzanie na wielką skalę rozpiera się bardziej w społeczeństwie. Wraz z tem wyłania się idea nowego porządku rzeczy. Jakiego? W odpowiedzi można, jakeśmy to uczynili, jedynie wskazać granice, wśród których będzie się on wahał. Synteza dokonana ukazuje nam kilka możliwości, rozmaicie wyglądających prawno-politycznie, lecz jednako opartych na olbrzymiem zrzeszeniu, centralizacyi i produkcyi celowej. „Kraj-folwark" jest zawsze ostatnim wyrazem technicznym. Jest to właśnie synteza przyszłości, zestawiona z najważniejszych bodźców rozwoju: ekonomicznych; kreśląc zaś ją, jedynie rzucaliśmy ogólne rysy, nie wdając się w drobiazgowe cieniowanie. Z całego tego szkicu widocznem jest, że ta lub inna forma prawno-polityczna przyszłości zależy od tego, jakie warstwy i interesy ją wcielą w życie. To nas wprowadza w dziedzinę celowej działalności społecznej. Jeśli dalszy rozbiór wykaże nam, że w interesie jakiejś grupy społecznej spoczywa oparcie przyszłości na podstawie humanitarnej i demokratycznej, wtedy od stopnia zorganizowania i uświadomienia odnośnej warstwy zależeć będzie dopięcie większe lub mniejsze tego celu. Działalność ludzka zyskuje jasno wyznaczoną arenę celowych a pożytecznych starań — w zakresie stosownego odłamu społecznego. Pytanie, co winien robić osobnik, który z pożytkiem istotnym chce zużyć swoje siły, zostaje rozwiązane. Pojmowanie takie rozwoju nie jest zatem skazaniem człowieka na bezczynność; dokonana synteza z wykazaniem warstw społecznych, które dążą ku humanitarnej formie zrzeszenia i centralizacyi, wybawia go jedynie od bezskutecznego miotania się w różne strony. Może jednak znajdą się tacy, którym owa centralizacya niepodoba się i którzy woleliby oborkę chłopską z jej zapachami. Jest to już rzecz gustu; o gustach zaś trudno rozprawiać. Możemy tylko powiedzieć, że zmarnują oni siły na dogadzaniu kaprysom swojego umysłu, obcy wielkim wysiłkom umysłu ludzkiego w kierunku humanitarnej przyszłości. Co do nas, wolimy z żyjącymi iść naprzód, niż śpiewać godzinki z umierającymi. A być może, kogoś przeraża sama centralizacya? Jest to uprzedzenie niesłuszne; przeciwnie, w oparciu jej na zasadach demokratycznych spoczywa właśnie środek zapewnienia człowiekowi szerokiej, masowej wiedzy; możliwie szerokiego dobrobytu materyalnego przy nieznacznym wysiłku fizycznym.

K. R. Żywicki.

LISTY KRAKOWSKIE.

Z chwili trwogi. — Dla głodnych. — Łatwe przepowiednie. — Nowy proces w Wadowicach. — Budowa teatru. — Małe porównanie. — Artysta. — Wysokie c i jeszcze wyższe *g*. — Dobroczynność. — Koncerty.

W lwowskiem piśmie humorystycznem istnieje stała rubryka p. t. „Strachajło." Jest to jegomość żyjący w ustawicznej obawie, który z najzabawniejszych drobiazgów wysnuwa katastrofy polityczne. Takimi strachajłami byliśmy w ostatnich dniach kwietnia a nazywało się, że żyjemy w przededniu wielkich wypadków. Ostatniego kwietnia czyli w prawdziwym przededniu, zdawało się, że z chmury przygotowań, jakie czyniły władze, spaść musi choćby kropla.

Nie spadła, na szczęście.

Dzielnica żydowska przedstawiała pole manewrów, patrole konnicy i wojska pieszego, oddziały zbrojne policyi, agenci, straż ogniowa, halabardnicy miejscy i komisarze przebiegali wytrwale ulice Kaźmierza. Niektóre domy żydowskie uprosiły sobie nawet załogę do wewnątrz, ale ani tego dnia, ani następnych nie stało się nic, coby zaniepokoić mogło władze i mieszkańców dzielnicy; echo tylko, które nam niosło jęki ofiar strasznych wypadków z Biały i Ostrawy, nie przebrzmiało dotąd.

A zresztą co nowego? Pogorzelcy wyciągają dłonie po jałmużnę. I nic więcej? Owszem, głodni modlą się o chleb a parę bochenków ma się upiec na dzisiejszym kiermaszu w sali hotelu Saskiego. Przynętą będzie własnoręczny haft królowej Natalii i astrolog wraz z wróżką, przepowiadający za przystępną cenę niezawodną przyszłość.

Wdzięczna ich rola, bo łatwa; zresztą spróbujmy. Przepowiadam, że w roku przyszłym Kraków nie obaczy pomnika Mickiewicza a będzie miał p. Glücksohna Jakóba; przepowiadam, że za pięć lat jeszcze nie zaopatrzy się w wodociągi a zdobędzie natomiast nowy gatunek duru brzusznego, zabijającego nawet radców miejskich; przepowiadam, że w przyszłym roku udadzą się wyścigi a reżyserem teatru nazywać się będzie każdy, kto handluje bielizną damską; przepowiadam wreszcie prokuratorowi w Wadowicach p. Ogniewskiemu uznanie i podziękę ogółu za wytrwałą gorliwość, z jaką zabrał się do oczyszczania wrzodów społeczeństwa galicyjskiego. Oto po procesie „amerykańskim“ toczy się już nowy a nie mniej jaskrawy i doniosły, wykazujący oszustwa popełniane przy poborach wojskowych, które miały odbywać się z krzywdą biednej ludności włościańskiej a z korzyścią żydowskiej, zamożnej. Na ławie oskarżonych zasiadają sami izraelici z Oświęcimia, w liczbie ośmnastu, dwaj z nich Landerer i Sadger znani z procesu emigracyjnego a oskarżony Fajwel Band już przed 9 laty za wyłudzanie pieniędzy pod pozorem, iż przez stosunki potrafi uwalniać od obowiązku służby wojskowej, był skazany za zbrodnię oszustwa na karę 3-letniego ciężkiego więzienia. Łatwo zrozumieć, jakie następstwa wynikają z takich nadużyć przy poborze, zwłaszcza gdy uwzględnimy, że oznaczona liczba popisowych musi być osiągniętą. Statystyka szpitali wojskowych wiele o tem może powiedzieć.

Rada miejska po dłuższych naradach uchwaliła: powierzyć budowę nowego gmachu teatru p. Zawiejskiemu i równocześnie przystąpić do usunięcia poszpitalnej rudery przy placu św. Ducha. Druga część uchwały lepiej mi się podoba. Wobec tylu nieodzownych potrzeb miasta, wobec dotkliwego braku wodociągów, budowa nowego teatru za pożyczone pieniądze mogła się jeszcze odwlec bez szkody. Zapewne że gdzieindziej teatr może być pierwszym nad wszystko, ale u nas, gdzie figle przedsiębiorcy dogadzają publiczności, u nas, gdzie z wielkiego utworu na scenie wyjdzie mdła okropność, czyli, krótko mówiąc, gdzie niema sceny, ale jest dom rozrywki obliczony na zysk do jednej kieszeni, raczej budować chodniki i wszelkie inne „ciągi.“ Niechętnie zawadzam o teatr, ale słów kilka. Kiedy we Lwowie p. Schmitt wojował z aktorami mimowoli nasuwało się porównanie. Tamci dobrze wynagradzani z zapewnioną emerytürą i kontraktem chroniącym przed kaprysami dyrektora, nasi zgodzeni za 14 dniowem wypowiedzeniem, albo jeżeli ich spotkał zaszczyt kontraktu, to w nim przedewszystkiem zabezpieczony przedsiębiorca. A płaca? Słyszałem że jakiemuś męczennikowi sztuki ofiarowano 10 zlr.; aktorzy, którymi poniewierają czasem dwa razy na dzień, dostają 20, 30, nawet i 60 zlr.; w tym ostatnim wypadku musi to być już wybitny *talent*. Szczytem marzeń jest 160 zlr. po za które niema już nic więcej aż do starości, ani dodatków, ani emerytury, chyba zapomoga na lekarstwo, udzielona z miejskiej kasy dla robotników, w której to rubryce kazano przedsiębiorcy ubezpieczyć personel teatru krakowskiego. A praca? Po dwu próbach wystawia się widowisko a co chwilę musi być nowe; w święta grywa się dwa razy, a jeżeli nadarzy się wielka jaka uroczystość, np. jarmark koński, to aktor prawie nie schodzi ze sceny. Jeżeli pomyślimy, że prawie wszystkie komedye grywane kończyły się małżeństwem, to i nie dziwne, że aktorzy pożenili się na prawdę; weźmy teraz na uwagę drożyznę krakowską, mieszkanie, utrzymanie, ubranie, dziateczki... ładna historya. Mów mu o ideałach i bohaterach, kiedy on cały wpatrzony w dziurawy bucik dziecka, zachęcaj go do samokształcenia się, do głębszych studyów... aha!

Jeżeli niektórym pannom 30 zlr. miesięcznej pensyi wystarcza zupełnie na eleganckie saloniki i buduary, na jaskrawe tualety i świetne salopy, nawet na zmianę *mamy* od czasu do czasu, to tajemnica, której nauczyły się od kogoś, ale z pewnością nie od nauczyciela ortografii. Na szczęście zamiłowanie u nich do sceny jest nieograniczone; spytaj tylko, kto jest jej ideałem a ręczę, że odpowie: *ach, Żegspir!*

W tej chwili dowiaduję się o ziszczeniu jednej z moich przepowiedni: oto namiestnictwo przedłużyło p. Glücksohnowi kontrakt dzierżawy przedsiębiorstwa do r. 1893, widocznie nieprawdziwą jest pogłoska jakoby on syt powodzenia i złotych reńskich chciał zrzec się teatru na rzecz hr. X za miernem wynagrodzeniem. Mówi ono, że już rozpoczęły się nawet układy między nimi, rozbiły się jedynie o inwentarz, w którym za dużo było o jedną „starą“ dekoracyę.

Słyszeliśmy Mierzwińskiego, on nam pokazał swoje wysokie *c*, a my jemu nawzajem naszą wysoką *g*. Obie strony były zadowolone: on z dochodu za niezwykle drogie bilety, my z upojenia i szału, w którym wołaliśmy: królu! żyj nam! Proszę nie myśleć o żarcie, była to chwila podniosła: kobiety pałały, mężczyźni wyrzucali kapelusze w górę a wyrostki z teatru wołali: królu! Tak jest, Mierzwiński oglądał naszą wysoką, naszą najwyższą *g*... Dochód z drugiego koncertu rozdzielił tenor między kilka stowarzyszeń, za co interesowani, jak mogli, dziękowali. Pożegnaniem na dworcu Mierzwiński był — jak telegrafowano z następnej stacyi — rozrzewniony.

W tej samej sali odbył się wkrótce koncert Towarzystwa muzycznego, gdzie za najwyższą cenę 40 centów setki osób słuchały utworów Noskowskiego i Żeleńskiego. Zasługa to głównie dyrektora p. Barabasza, którego do dalszej pracy zachęcają liczne dowody wdzięczności i uznania jakie mu niezmiennie okazuje krakowska publiczność.

Za dni kilka oklaskiwać będziemy p. Michałowskiego, który zaproszony przez p. Barabasza weźmie udział w wielkim koncercie Towarzystwa.

Mor.

BADANIA NAUKOWE.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE.

Prywatne towarzystwa w celu zadrzewiania miast. W r. 1882 powstało w Londynie prywatne towarzystwo „The Metropolitan public Gardens Association.“ Stolica Anglii posiada mnóstwo cmentarzy opuszczonych, stojących bez najmniejszego użytku, a zamkniętych dla publiczności; obok tego znajduje się tutaj dużo większych przestrzeni przy zbiegu ulic itd. Otóż wśród pewnego grona ludzi zrodziła się myśl, aby drogą prywatnych wysiłków i środków zamienić te nieużytki i pustki na miejsca zadrzewione, gdzie dziatwa i starzy okolicznych dzielnic znajdowaliby wytchnienie i miejsce dla zabawy lub rozmowy. W tym właśnie celu założono wspomniane powyżej towarzystwo. Zajmuje się ono sadzeniem nowych parków i ogrodów publicznych, zwłaszcza wśród bardziej zaludnionych i cuchnących cyrkułów, przeszkadza zabudowywaniu i niszczeniu podobnych ustroni w mieście; sadzi drzewa i ławki na ulicach i drogach; popiera powstawanie wszelkich urządzeń ludowego sportu i gimnastyki. Od swego powstania przyłożyło rękę do 200 przeszło przedsięwzięć, w tej liczbie wytworzyło jeden park, 30 ogrodów publicznych i mnóstwo miejsc zabawy dla dziatwy, obsadziło drzewami 20 małych cmentarzy i 14 dróg, umieściło ławki na 12 ulicach itd.

Nieco odmiennego rodzaju prywatne stowarzyszenia działają we Francyi. W Rouen istnieje prywatne towarzystwo popierania sadów, a raczej przebywa centralny zarząd kilku towarzystw. Powstało ono w r. 1886 i liczy obecnie kilkaset członków z budżetem około 14,000 franków. Zajmuje się popieraniem wszelkiej uprawy sadowniczej w polach, ogrodach, szkółkach i cieplarniach. W tym celu urządza doroczne wystawy, zwiedza sady i ogrody, udziela wskazówki i zachęty, urządza wykłady w początkowych szkołach departamentu, w Rouen uczy hodowli sadowniczej w nizkich a wilgotnych miejscach i posiada 11-hektarową szkołę dla badań nad owocami, które pozwalają się układać w stanie prasowanym, i rozdaje darmo zrazy podobnych drzewek.

W prasie naszej dają się czasami słyszeć głosy, nawołujące do zadrzewiania dróg wiejskich. Z drugiej strony można często spotkać się z narzekaniami, że włościanie niszczą młode drzewka, że sprawa zadrzewiania prawie nie posuwa się naprzód. Pochodzi to częściowo stąd, iż włościanin na razie nie widzi najmniejszej korzyści z ochraniania drzewka. Przytem istnieje w ustawie gminnej paragraf (nie mamy jej pod ręką, więc nie przytaczamy dosłownie), którego mocą każde drzewko, zasadzone przez kogokolwiek w odległości mniej niż 5 kroków od dróg ogólnego użytku, staje się własnością gminy. Wobec nierządu, panującego wśród gospodarstwa gminnego, losy drzewek są bardzo niepewne. Znamy wypadek, gdzie pewien obywatel z Mławskiego widział, jak wprost wycinano jego pracę, nie mając prawa powstrzymania tego barbarzyństwa. Moglibyśmy wymienić inny majątek, gdzie mają zamiar zadrzewić drogi, lecz tylko te, z których prócz folwarku nikt nie może użytkować. Sądzimy, że na postęp zadrzewiania u nas więcej, aniżeli wszelkie utyskiwania i kazania, wpłynęłaby pewna zmiana w paragrafie ustawy, oddająca np. włościaninowi na własność prywatną te drzewka owocowe przy drodze, które swojem staraniem posadził. W dzisiejszym stanie umysłów wiejskich być może byłby to najodpowiedniejszy sposób.

Rozwody we Francyi. Dnia 27 lipca 1884 r. zatwierdzono we Francyi prawo rozwodowe. Obecnie odnośne władze ogłosiły drukiem materyał statystyczny, dotyczący rozwodów, a obejmujący przeciąg czasu od wejścia ustawy w życie do dnia 31 grudnia 1888 r. Zestawienie tych danych znajdujemy w *Ekonomiście francuskim*. Za wzmiankowany okres czasu przeprowadzono ogółem 17,177 spraw rozwodowych lub seperacyjnych. W r. 1885 przypadało 5,7 rozwodów na 10,000 stadeł małżeńskich, w 1886 tylko 4, w 1887 już 5 i wreszcie liczba powyższa w 1888 r. wzrasta do 6,1. Wogóle jedno małżeństwo na 435 uległo rozwiązaniu. Zasługuje na uwagę okoliczność, jak często rozwody zdarzają się w różnych okolicach kraju. Pierwsze miejsce zajmuje Paryż, na który wraz z departamentem Sekwany przypada aż 30% z całego ogółu rozwodów. Reszta, 70%, dzieli się pomiędzy wieś i pozostałe miasta w ten sposób, że pierwsza liczy 25%, te zaś ostatnie 45%. Rzecz ciekawa, że po departamencie Sekwany z kolei idzie co do częstości rozwodów departament Aube; tłomaczy się to faktem, że koszty rozwodowe są tutaj sprowadzone do zera... Najniższej liczby dosięgają rozwody w okręgach mało przemysłowych, jak departament dolnych Pirenejów Wandea, Cantal, Sabaudya. Wśród przyczyn rozwodu cudzołóztwo występuje jedynie w 21%, przytem popełnia je mąż w 29 przypadkach na 100, żona zaś w 71. Ponieważ jednak w rzeczywistości stosunki tego rodzaju pozadomowe ma dla męża są regułą, u żony — względnie rzadkim wypadkiem,

przytoczone fakty odsłaniają nam jedną z ciekawych stron obecnej rodziny wraz z właściwą surowością mężczyzny względem kobiety. Średnia długość pożycia u rozwodzącego się małżeństwa wynosi lat 12—13; najwięcej zaś rozwodów przypada na mężczyzn w wieku lat 45—50, na kobiety zaś około 30—35. Ciekawem jest także rozmieszczenie częstości rozwodów pomiędzy rozmaitemi warstwami. Wśród właścicieli rolników (włościan?) przypada 25 rozwodów na 100,000 stadeł małżeńskich, wśród najmitów i parobków wiejskich liczba ta potraja się, u przemysłowców upięciokrotnia (128 rozwodów na 100,000 małżeństw). Wśród robotników fabrycznych częstość rozwodu jest 8, urzędników 10, rentierów 11, kupców 12, oficyalistów handlowych i przemysłowych 15, wreszcie wśród zawodów wyzwolonych 17 razy liczniejszą, niż u rolników. Gdyby można było zestawić te liczby z ilością wolnych, lecz stałych związków „na wiarę,“ tak częstych w Paryżu, otrzymalibyśmy nader ciekawą wiązankę danych co do przyczyn, wpływających na częstość rozwodów i rozkład tegoczesnej rodziny. Już z powyższego widać, że im żywioły są ruchliwsze, lub kobieta oddana więcej pracy pozadomowej, wyzwolenie rozwodowe jest częstsze. Należy zauważyć, że 48% rozwodzących się małżeństw nie posiadało potomstwa. Ten jeden fakt wskazuje, o ile instytucya ta okazała się pożądaną. Wreszcie musimy zwrócić uwagę, że liczby powyższe nie są ścisłe. Dzięki nastaniu prawa rozwodowego rzuciło się do korzystania z niego mnóstwo stadeł, które już żyły w seperacyi. Jeśli usunąć te wpływy, wzrastanie rozwodów okaże się szybszem, niż w powyżej przytoczonym wykazie. Będzie ich w r. 1885 tylko 2,064, w następnym 1,649, wreszcie w 1887 już 3,596.

LITERATURA I SZTUKA.

LISTY PETERSBURSKIE.

Petersburg, 24 kwietnia.

Dramat Tolstoja: *Władza mroku*. — Wystawa Akademii sztuk pięknych: widoki, obrazy, rzeźba.

Dramat hr. Tołstoja p. t. *Władza mroku* zyskał w swym czasie znaczny rozgłos: idealistów oburzył, realistów zachwycił. Odegrano go niedawno na pewnej scenie prywatnej — wcale dobrze. W tłomaczeniu zaś oglądał go Paryż.

Oto są osoby dramatu:

Piotr—chłop zamożny 42 lata, żonaty powtórnie. Anisia jego żona 32 lata, strojnisia. Akulina i Aniutka — córki Piotra z pierwszego małżeństwa; pierwsza 16 lat (głucha i głupowata), druga — 10-letnia.

Mikita — parobek Piotra 25 lat — frant. Akim — jego ojciec 50 lat. Matriona — matka Mikity — 50 lat.

Maryna — dziewka, sierota 23 lat.

Anisia dla Mikity zdradza męża. Mikita uwodzi Marynę, poczem dla Anisii zdradza ją. Matriona, jako czuła matka, pomaga zabiegom syna, Akim zaś oburza się na niego, każe wracać do domu i żenić się z uwiedzioną, lecz gdy Mikita, poduszczony przez matkę i nową kochankę, przysięga, że dziewka czepia się go niesłusznie, zostawia go w spokoju. Tymczasem Matriona dostarcza Anisii trującego ziela, z pomocą którego słaby i chorowity Piotr przenosi się do wieczności. Scena pełna zgrozy, gdy podczas jego dogorywania, żona, lękając się napadu krewnych, szuka we wszystkich zakątkach pieniędzy i znajduje wreszcie trzos na ciele konającego. Matka Mikity, korzystając z jej niepokoju, prawie zmusza oddać pieniądze do schowania jej synowi.

Między drugim a trzecim aktem mija 9 miesięcy. Okazało się, że Mikita, obecnie mąż Anisii i gospodarz, pojechał do miasta z Akuliną (starszą córką zmarłego). Anisia, siedząc w domu z młodszą dziewczyną, niepokoi się, że mąż tak długo nie wraca, na co Aniutka powiada:

— Po cóż im śpieszyć się?.. Mają pieniądze więc hulają sobie; sama słyszałam, jak przyrzekał jej kupić pół-szalik...

Z dalszych rozmów wyjaśnia się, że Anisia, oddając przyszłemu mężowi pieniądze, utraciła wszelki wpływ, pasierbica wzięła nad nią górę.

W czasie ubolewania kobiety przychodzi Akim — i jako człowiek prawa staje po jej stronie. Wkrótce przyjeżdża pijany Mikita z Akuliną. Wiedząc, że ojciec potrzebuje pieniędzy na kupienie konia, daje mu (z przechwałką) 10 rubli. Poczem Akim usuwa się, by spocząć na piecu, lecz gdy zauważył, co się święci, gdy usłyszał kłótnię kobiet, ujrzał, jak Mikita, godząc je, wypchnął babę z chaty — wstał, odział się i zwróciwszy synowi pieniądze, wśród ciemnej nocy wyszedł.

Czwarty akt. Matka i żona Mikity postanawiają oczekiwane dziecię Akuliny, dla uniknięcia rozgłosu, zgładzić; ją samą wydać za mąż i tym sposobem wrócić naruszony spokój i porządek. Pewnego wieczoru dzieją się straszne rzeczy. Kobiety każą Mikicie wykopać w piwnicy dół. Wiejski Hamlet opiera się... Matka wpycha mu rydel, a żona powiada:

— Nie chcesz!.. a w więzieniu chcesz być? Zaraz pójdę i powiem *uriadnikowi*... Raz ginąć... wszystko opowiem!

Mikita: Cóż opowiesz?

Anisia: Co? — Pieniądze kto wziął?—Ty! Truciznę kto dawał?—Ja, lecz tyś wiedział, wiedział, wiedział... Byliśmy wspólnikami.

Dalej, matka powiada synowi:

— Taka już sprawa, jagódko: potrafiłeś hulać, umiej i końce schować.

W końcu, żona gniewem, matka namową naginają go do swych projektów. Gdy wykopał dół, przynoszą dziecię żywe i każą grzebać. Zaczynają się znowu zatargi i kończą się okrutną sceną. Mikita kładzie na niemowlę deskę i siada na niej... Wylękły, wpół szalony wypada z piwnicy... Sama matka (Matriona) musi trupa grzebać.

Warjant ostatniej części tej sceny dla teatru trochę udatniejszy. Sprzątanie dziecka wykluczono; natomiast Aniutka, siedząc w izbie z nowym parobkiem Mitriczem, czuje, że się coś dzieje; coś podsłuchała, coś stara się odgadnąć, zdaje się jej, że słyszy jęk Akuliny, pisk dziecka, drży, chowa się na piec, twierdzi, że dziecię żadusili.

Stary Mitricz (słuchając) mówi flegmatycznie:

— W samej rzeczy coś brużdżą... Paskudnice te baby!.. Jak dzikie zwierzęta — niczego się nie boją... Zresztą — powiada dalej — chłop choć w karczmie, w więzieniu, w żołnierce, cośkolwiek się dowie, a was kto uczy? Pijany chłop bijąc lejcami—więcej nic.

W ostatnim akcie dowiadujemy się, że w izbie czynią się przygotowania do ślubu Akuliny. Mikita, ażeby w roli ojca nie błogosławić jej, ucieka z chaty, a gdy kobiety (matka i żona) prześladują go, szukają, namawiają, trapiony przytem czarnemi myślami, zarzuca powróz na belkę, chcąc raz skończyć. W tej chwili budzi się, zaczyna tuż na słomie pijany Mitricz — i zaczyna rezonować, że chociaż jest pijakiem, nikogo nie lęka; niech wszyscy widzą, jak on jest nikczemnym: „Kto się lęka ludzi, oddaje się w moc złego ducha — ja nie kryję się przed nikim, więc nie dbam o niego.“

— Masz słuszność! — woła Mikita, rzucając powróz. Wraca do izby i upadłszy na kolana, zaczyna publiczną spowiedź, biorąc na siebie wszystkie winy: otrucie Piotra, uwiedzenie Akuliny, zabicie dziecka. Obecny *uriadnik* rzuca się doń, lecz Akim (ojciec Mikity) wstrzymuje go i mówi: „Daj mu skończyć, to sprawa boża“ — zwracając się do syna, dodaje: „Mów synu, mów, lżej ci będzie — nie lękaj się ludzi...“

Dobrze zakreślony jest w tem miejscu odruch Akuliny. Skoro zrozumiała, o co chodzi, rzuciła się do Mikity i zawoła:

— I mnie wiążcie! Jestem wspólniczką w zabiciu dziecka, więc i ja z nim...

W samej rzeczy wspólniczką nie była — dziecię kobiety gwałtem od niej porwały, to też Mikita zaprzecza, lecz ów odruch był niezbędny, inaczej widz zapytałby: dlaczego Mikita, ochraniając matkę i żonę— kobiety winne zbrodni — nie szczędzi niewinnej Akuliny, spowiadając się i z jej grzechu.

W całym dramacie charakterystyka osób, chwile psychiczne— są piękne i prawdziwe, a jednak musimy uczynić autorowi dosyć ciężki zarzut, mianowicie, że opisał wypadek zbyt rzadki, zbyt rażący. Wyobraźmy sobie, że komuś przyszłaby ochota wziąć za temat sprawę Skublińskiej, tak, jak ją przedstawiano na razie!.. Krzyczące tematy nęcą pisarzów mniej utalentowanych, L. Tołstoj mógłby swą tendencyę *Władzy mroku* wygłosić w sposób prostszy, a nie mniej silny. Mógłby ominąć techniczną stronę zabójstwa — owe chrupanie kości, ów cynizm występku. Jest pewna granica, której geniusz nie przekracza: zgroza śmierci i cynizm zbrodni są to dwie rzeczy różne! Pierwsza sprawia w widzach trwogę, żal, ostatnia — niechęć, obrzydzenie. Zresztą autor sam rozumiał fałszywe tony czwartego aktu, skoro umieścił waryant ostatnich trzech scen. Trzeba przyznać, że waryant jest słabszy od całego utworu — zamiast twórczości widzimy w nim jeno technikę; trwoga dzieweczki jeszcze się nadaje do ogólnego kolorytu, w długich zaś tendencyjnych rozprawach starego Mitricza wiele jest nut fałszywych.

Napróżno mniemałem, że w jednym liście uda się mi rozpatrzyć i „Sonatę“ Kreuzera — utwór tegoż autora; dla braku miejsca pozostawmy to na przyszłość; natomiast zajrzyjmy na wystawę Akademii sztuk pięknych.

Wogóle jest ona bogatszą od *ruchomej*, w szczegółach zaś nie wiele ma utworów wybitnych. Widoki i tutaj przeważają, zacznijmy tedy od nich.

Widoki. Ładnych wiele, poetycznych mało. Do wybitniejszych należą prace: Engogurowa, Kurjara (kobiety). Siergiejewa, Kazancewa, Orłowskiego, Kondratienki — każdego z nich w znacznej ilości; z pojedynczych zaznaczmy „Pejzaż“ Klewera i „Zorzę“ Sacharowa. Kryżycki i Kraczkowski wystawili też kilka płócien, jak zwykle ładnych, lecz palma pierwszeństwa nie im się należy. W przeszłym roku (*Prawda* nr. 20) zaznaczyłem mój pogląd na widoki, że są one tylko tłem życia i mają racyę bytu jako poezya; trzeba być geniuszem, ażeby napisać uroczy obrazek z natury żyjącej jeno roślinnem życiem, uśmiechającej się powierzchnią wód, gniewającej się nawałem chmur. Prosiłbym czytelnika zwrócić uwagę, że na wsi, latem, wśród wdzięcznej się lub burzliwej natury wszelki malowany krajobraz wyda się mdłym—i tylko w miastach, w owych piętrzących się kryjówkach ludzkich silniej działa— jako raj zakazany. Prosiłbym mędrców, którzy wyznaczają pięknu trzy okresy: pierwszy—zmysłowy—rzeźba: drugi — łączący niebo z ziemią — malarstwo i trzeci — duchowy — muzyka, zważyć na to, że grecy nie mieli Londynów, owych zadymionych, zabłoconych jaskiń, żyli nader blizko przyrody, więc nie zbyt potrzebowali w tym względzie łudzić swój wzrok naśladownictwem jej.

Obrazy. Najpierwszym jest Nowoskolcewa: „Ostatnie chwile metropolity Filipa“ (1569 r.). Starzec modli się w więzieniu przed starym, bizantyjskim obrazem, a Maluta Skuratow— wódz „Opryczników,“ narzędzie tortur Iwana Groźnego — otwiera drzwi i ukazuje swą dziką twarz. Jaki kontrast! Z jednej strony widzimy oblicze

ubarwione nadziemską rezygnacyą i spokojem, z drugiej — wyraz kwi i zbrodni.

Niektórzy znajdują, że twarz Maluty jest dysonansem obrazu, przesadą. Tacy zapewne nie pamiętają jakim był ów kat z powołania, z idei... Neron, Ludwik, Iwan, są to łagodne baranki wobec Skuratowa. W nich widzimy szał, obłąkanie, wściekłość — właściwości ludzkie. Skuratow jest gilotyną; nazwać go tygrysem — byłoby ubliżeniem temu zwierzęciu.

Oświetlenie obrazu jest nadzwyczaj misterne: z jednej strony blask świecy, z drugiej światło dzienne, płynące przez pół otwarte drzwi; starcie się owych dwóch czynników wymaga głębokich studyów, cierpliwej pracy i znajomości techniki. Artysta podołał zadaniu. Najpiękniejszą jednak stroną obrazu jest plastyczność klęczącej postaci metropolity. Piękny, wspaniały obraz!

Makowskiego: „Przed ślubem.“ Jest to scena z czasów bojarskich. Panną młodę druchny ubierają do ślubu. Bogactwo barw i strojów zachwycające, ale postacie i ruchy ich mniej są udatne. Typy ładne, lecz na tak wielką liczbę osób za mało ich, niektóre są sobie wzajem kopiami i to jest największym niedostatkiem dużego, wspaniałego obrazu.

Łosiewa: „Oswobodzenie niewolnicy.“ Scena z czasów rzymskich — nader udatny obrazek: koloryt, ruchy, zaciekawienie obecnych osób — wszystko tchnie życiem, prawdą.

Świadomskiego: „Scena z francuskiej rewolucyi (1789 r.). Tłum uzbrojony czem się trafiło, zburzył zamek, zabił spotkaną w drodze arystokratkę, roztrzaskał powóz, sługę w liberyi powlókł za sobą. Na obrazie widzimy ostatnie szeregi kolumny, której głowę zaledwo możemy dojrzeć na widnokręgu, a tułów jak wąż zwija się w polu. Tylko dwie kobiety są zwrócone do widza, na ich twarzach widzimy szał, ciemnotę, zemstę... Osobliwie głębokie wrażenie sprawia jedna z nich z widłami w ręku, na jednym z zębów tkwi czyjeś serce... Nadciągająca burza dopełnia efektu.

Piękne są też obrazy: „Pielewina—„Pieszczoch rodziny,“ Aksnazego — „Narzeczony-talmudysta,“ Miłoradowicza — „Wróżbitka,“ Dmitrijewa-Orenburskiego—„Ostatni bój pod Plewną,“ Twarożnikowa — „U cerkwi“; udatne są typy żebraków. Ładny też obrazek Flejwirta-Lutzowa p. t. „Aj, jak miło!“ i nieduże obrazki Stiepanowa. O Bakałowiczu za to, że się bawi, nie pracuje, mówić nie będziemy.

Rzeźba. Wielońskiego — „Bojan.“ Wspaniały marmurowy posąg starca grającego na lutni; przy nim klęczy pacholę z twarzą dziwnie uroczą. Patrząc na ów posąg, przyszło mi na myśl, że jak w literaturze filozofia, tak w obrazach rzeźba surową ma twarz zapewne dlatego, że wymaga głębokiej znajomości rzeczy i wytrwałej pracy. Potem myśl uniosła się do zamierzchłych, surowych, wojowniczych czasów, do pierwszych przebłysków świadomości człowieka. Oblicze patryarchy bojanów — Homera, wcieliło się w ów marmur i zanuciło: „Gniew Achillesa...“ itd.

Mały, bronzowy posąg „Gladyator,“ tegoż artysty, nie mniej jest piękny.

Zalemana: „Cymbrowie“ (gips). Ileż to siły, życia, a nawet ruchu w trzech walczących i ginących postaciach! Trzeba widzieć, opisać trudno. Artysta potrafił dzikie, surowe oblicza uczynić pociągającemi, za co mu cześć i chwała się należy.

Edwardsa: „Szurka.“ Pacholę z twarzyczką niełądną, lecz dziwnie porywającą weselem, uśmiechem, prostotą. Patrząc nań, dziwisz się, że marmur może być tak giętkim.

Ginsburga: „Pierwsza muzyka“ (gips). Chłopak napiął trzymaną w zębach nitkę i stara się wydobyć z niej tony — obrazek nader żywy.

Von-Bocka: „Echo.“ Ładna rzeźba.

Przepraszam, lecz muszę ustąpić łamów tygodnika więcej utalentowanym współpracownikom.

N. B.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

P. K. Waliszewski jako prorok.— Nowe słowo i nowy występek. — Jeden z wielu. — Obniżony poziom moralny i podkopany kredyt materyalny ziemiaństwa.— Na czem ono się oprze w przyszłości. — Niema różnicy. — Czego dowodzi prośba uczciwych. — Potrzeba wskrzeszenia zamarłej cnoty.— Pokłony przed dr. Carverem. — Nagła zmiana. — Oby trwała. — Epoka panowania reporterów.

Pamiętną jest wrzawa, jaką ongi wywołał p. K. Waliszewski, rozkołysawszy dzwon *Kraju* iuderzywszy własną w nim krzywdą na trwogę i obronę przeciwko „dewastacyi“ majątków ziemskich, sprzedawanych przymusowo za długi hypoteczne. Na ten alarm odpowiedziano mu gradem pocisków, starano się „ptaka, który kala własne gniazdo,“ oskubać aż do ostatniego piórka i ugotować w żółci. Rzeczywiście, pan K. Waliszewski, ogłaszając znane mu nadużycie jako zjawisko niemal powszechne a nadto twierdząc, że hypoteka ziemiańska niewarta ani grosza, poszedł daleko po za granice prawdy i rozsiał popłoch wówczas nieuzasadniony. Ale przyznać mu trzeba, że nie był fałszywym prorokiem i że — jakby powiedzieli przesądni—swoje nieszczęsne słowo wymówił w złą godzinę. Istotnie, przed nim prawie nie słyszeliśmy, ażeby właściciele ziemscy uważali swych wierzycieli za wrogów a swe folwarki za twierdze, które powinni prochem wysadzić, zanim je nieprzyjaciel zdobędzie; mowa nasza nie znała wyrazu „dewastacya,“ który dziś wszedł do jej słownika jako ogólnie rozumiana nazwa pewnego rodzaju grabieży, sam zaś fakt widocznie powtarza się z przerażającą częstością, skoro nawet niektórzy ziemianie (warszawscy) zwracają się do Towarzystwa kredytowego z prośbą o środki zaradcze. Ten protest, ta chęć powstrzymania niecnego rabunku świadczy zarówno o ich uczciwości, jak rozumie. Bo czemkolwiek osłonimy „dewastacyę,“ zawsze z po za niej wychyli się oblicze występku. Skoro nasz ustrój społeczny i etyka opierają się na zasadach własności, nie można kraść moralnie i dla ogółu pożytecznie. Tymczasem wielu naszym „obywatelom,“ a co gorsza— i ich otoczeniu zdaje się, że jest to najzupełniej możliwem, aby tylko pod innym, niekradzieżnym tytułem. Uważaliby oni to sobie za hańbę, gdyby tajemnie wzięli przekupce bułkę lub sąsiadowi owcę; ale nie uważają tego wcale za czyn sromotny, gdy fałszywem przedstawieniem swej odpowiedzialności materyalnej wyłudzą od kogoś pieniądze, których oddać nie mogą i nie myślą, gdy ludziom, którzy im zaufali ciężko zapracowany grosz, wydzierają podstępnie rzeczowe ubezpieczenie pożyczki. Wyobraźmy sobie w oświetleniu moralnem jednego z tych bankrutów, którzy dziś najrozmaitszemi odmianami wycieniowali nowy a wstrętny typ. Posiada on kawał poczciwej ziemi, która go wraz z rodziną karmić może przez całe życie aż do przesytu. Ale on nie zadawala się dostatkiem i pragnie zbytku: więc hula, dopóki jest kawalerem, ożeniwszy się, wozi żonę z dziećmi do Warszawy, do wód i miejsc kąpielowych, włóczy próżniaczą i strojną gromadę po całej Europie, rzuca w otchłań szyku i mody tysiące rubli dopóty, dopóki nie uczuje pustek w kieszeni. Wtedy, nie ograniczając zbytku, zaczyna pożyczać, pożyczać od wszystkich: sąsiadów, lichwiarzów, znajomych, wdów, sierot, starców, żyjących ze skromnych kapitalików, aż wreszcie tak wyciągnie ogon długów hypotecznych, że na nim już nawet mucha usiąść nie chce. Następuje powolne zniżanie stopy życia, polowanie na łatwowiernych, wyzyskiwanie stosunków i żebranina u lichwiarzów, trzymających ciągle inwentarz żywy i martwy pod zajęciem. Nakoniec wszystkie źródła wyczerpują się — majątek idzie na sprzedaż przymusową. Ile tylko jest kruczków w procedurze, tyle się używa dla odwleczenia subhastacyi. Ale i te sposoby mają swój kres: jeżeli z życzliwą pomocą rodziny nie można kupić majątku za pożyczkę Towarzystwa kredytowego na imię żony lub dziecka, pozostaje już tylko „dewastacya:“ więc szanowny obywatel i zacny człowiek uprowadza lub na grosze zamienia konie, woły, owce i trzodę, wywozi słomę, rozbiera i sprzedaje budynki, płoty, kołki, wydziera okna, drzwi, dachy, przechodzi niszczącą i mściwą stopą po swym folwarku jak rabuś, tatar, ogień, burza. Naturalnie nabywca „ziemi i nieba“ płaci odpowiednio, w najlepszym razie utrzymuje się na hypotece nie wielka suma po pożyczce Towarzystwa kredytowego, reszta długów przepada. Spadają nietylko lichwiarze, ale również znajomi, przyjaciele, biedacy, wdowy, sieroty, starcy, a nieraz i kapitały dobroczynne, instytucye i ludzie, którzy zaufali „szanownemu obywatelowi“, których nieraz jego „zręczna dewastacya“ spycha w otchłań ruiny i nędzy. I to się nie nazywa postępowaniem haniebnem, niemoralnem, taki człowiek zachowuje nadal dobre imię i honor. Chór przekleństw, złorzeczeń, widma krzywd, które go ścigają, nie zamkną przed nim niczyich drzwi, nie cofną niczyjej ręki. Odsłaniają go skrzydła etyki społecznej.

Te „ofiary losu“ były dawniej wyjątkami, teraz roi się niemi sfera ziemiańska. Kredyt osobisty, kredyt moralny prawie z nią zniknął; pozostał tylko mocno poderwany rzeczowy. Mówię: mocno poderwany, bo jeżeli dawniej wierzyciel opierał swój dług na całem gospodarstwie ziemianina, to dziś jedyną rękojmię widzi on w ziemi— nieuprawionej, nieobsianej, zdewastowanej. Ponieważ zaś Towarzystwo kredytowe wyczerpuje swoją pożyczką wartość takiej ziemi, więc kapitał prywatny unika hypotek ziemiańskich lub też każe się za ryzyko wynagradzać wysoką stopą procentową. Dla niego najdoskonalsza uprawa roli, najstaranniejsze zasiewy, najlepsze budynki i inwentarze nic nie znaczą, bo wszystko to przed sprzedażą przymusową majątku zniką w „dewastacyi:“ dług o tyle tylko jest pewnym, o ile go ubezpieczają „ziemia i niebo.“

Dzięki tedy nowemu systemowi „ratunku“ poziom moralny ziemiaństwa zniżył się do niebywałej miary, kredyt materyalny upadł, rolnictwo, skutkiem ciągłych spustoszeń, rozwijać się nie może, ponieważ zaś pozbawiona zaufania i odłużona większa własność ziemska marzy jeszcze o ograniczeniu względem niej praw kapitału żydowskiego, trudno pojąć, na jakim gruncie ekonomicznym ma ona nadzieję utrzymać się w przyszłości. Nieliczne wyspy dobrobytu i rządności obleje morze ruiny.

A jednakże tę zagładę można i należałoby odwrócić. Bieda wygania już po trosze z tej sfery zbytek i sprowadza do niej oszczędność; ale potrzeba jeszcze przywrócić godność sponiewieranej etyce. Opinia, zarówno publiczna jak prywatna, powinna do dewastatorów i oszustów ziemskich zastosować tę samą surowość, jaką karze podstępnych bankrutów w handlu. Bo niema żadnej różnicy pomiędzy obywatelem, który nadużywa cudzego zaufania, zaciągając długi bez zamiaru spłacenia ich i rabując przed sprzedażą majątek, a kupcem, który bierze towary na kredyt i ukrywszy pieniądze ogłasza upadłość; niema żadnej różnicy między ze złą wolą wystawionym wekslem

a z takąż wolą zawartym aktem rejentalnym, między podstępnym bankrutem a dewastatorem. Piętnujemy pierwszych, piętnujmy i drugich.

Tymczasem opinia nasza ma wzgardę i potępienie dla tamtych, dla tych zaś pobłażanie. Sąsiedzi uniewinniają „biedaka, który się ratował, jak mógł,“ a prasa milczy o faktach lub im przeczy. Tak np. *Rolnik i Hodowca*, który słusznie walczy z niewiarą i wykazuje możliwość rozwoju naszego gospodarstwa ziemskiego, złą wyświadcza mu usługę, uspakajając optymizmem sumienie ogółu. „Wiemy przecież dobrze (!) — powiada on — że ilość majątków niszczonych jest *bardzo nieznaczna!* Że ziemianie zacni i uczciwi potępiają jednomyślnie dewastatorów, dowodem fakt, że na zebraniu przedwyborczem warszawskich pierwszem z żądań, do władz Towarzystwa podanych, było przedsiębranie najsurowszych środków przez te władze dla ukrócenia dewastacyi.“ Mnie się zdaje, że fakt ten dowodzi całkiem czego innego, mianowicie tak groźnego wzrostu dewastacyi, że aż uczciwsze jednostki żądają od Towarzystwa środków zapobiegawczych. Może wspomniany tygodnik ma odmienne informacye, według naszych zaś wiadomości i spostrzeżeń nawet jeden na sto majątków sprzedawanych przymusowo nie dostaje się do rąk nabywcy niezrabowany doszczętnie przez poprzedniego właściciela.

Szlachta nasza, obok lekkomyślności i wielu przywar, miała w swym charakterze wiele pierwiastków szlachetnych, a między nimi szczere i silne poczucie obywatelskiego honoru. Wskrzesić w niej to poczucie zamarłe, rozbudzić uśpione — jest zadaniem opinii i jej organów, które dobrze życzą tej warstwie społecznej i wierzą w jej dodatnią rolę. Towarzystwo kredytowe może obostrzyć środki swego nadzoru, ale ono nie wytnie nowotworu z organizmu zakażonego. Społeczeństwo, które chce mieć rzetelnych dłużników, musi naprzód starać się o wychowywanie uczciwych ludzi. Więcej, niż wszystkie dyrekcye szczegółowe i główne, dokonać mogą wpływy moralne, niepisany i niezatwierdzony kodeks obowiązków, który bez sofistyki i pobłażliwych rozgrzeszeń wskazuje powinności i każe występki. Odwróćcie się ze wzgardą od dewastatorów, od oszustów, nie ścierajcie z ich sumienia cudzej krzywdy, a wtedy niepotrzebne będą surowe instrukcye Towarzystwa, wtedy ziemiaństwo odzyska swoje dobre imię i swój materyalny kredyt.

Pewnego dnia Królestwo Polskie z przyległościami wyczytało we wszystkich dziennikach jednobrzmiące doniesienie: *Wild America* rozpoczyna swoje przedstawienia w niedzielę; głównym ich bohaterem będzie dr. Carver, który zabił 5,500 bawołów, który wygrał raz zakład, że da 60,000 strzałów, który do zmęczonych tym popisem mięśni musiał przystawiać baterye elektryczne, który w pędzie na koniu rozbija kule szklane itd. „Indyanie — mówiła nota — nazywają go złym duchem i oddają mu pokłon padając na ziemię.“ Była to niewątpliwie nota... przedsiębiorcy towarzystwa, Whitneya, który ją przesłał redakcyom do zamieszczenia. Przedrukowawszy ten komunikat z uderzającą gotowością, one same padły również na ziemię przed złym duchem. Ponieważ zaś przytem sążniste afisze drażniły i wabiły ludność od dwu tygodni, więc w niedzielę znalazło się na polu Mokotowskiem kilka tysięcy ciekawych, którzy zsypali co najmniej tyleż tysięcy rubli do kieszeni przedsiębiorcy. Co zaszło na pierwszem przedstawieniu, czy rzeczywiście było ono lichem, czy sprawozdawcy otrzymali złe miejsca — nie wiem, dość, że ci sami heroldowie opinii publicznej, którzy kazali nam „padać na ziemię,“ dali hasło do odwrotu. Nie zadowolili ich ani indyanie, ani woły, ani popisy konne, a nawet nie oczarował dr. Carver. Być może, iż p. Whitney, który zapewne kształcił się u Barnuma, naprawi sobie interes, my tymczasem zyskaliśmy już coś na tem, że jego pompa tylko pierwszego dnia wysysała ruble obficie. Gdyby zaś zrażony niepowodzeniem opuścił nas przed terminem, życzyłbym mu serdecznie szczęśliwej podróży. Dzienniki powinny go usilnie do tego zachęcić. Na hecę, którą w każdym cyrku taniej oglądać można, nie mamy kilkudziesięciu tysięcy rubli. P. Whitney o tem nie wie, a wreszcie nie dba, ale muszą wiedzieć i dbać pisma. Niech one porzucą lekkomyślną nagankę do sieci wydrwigrosza, bo to nie jest czyn obywatelski. Na nieszczęście życie nasze w znacznej mierze zależy od reporterów, ludzi, którzy dla swej sztuki wyzuwają się powoli ze wszystkich właściwości człowieka, bo nawet i z instynktu samozachowawczego. W Ameryce udają pomieszanie zmysłów, ażeby dostać się do domu obłąkanych, skaczą z okrętu w morze i toną, ażeby wypróbować środki ratunkowe, a niedawno jeden z nich pozwolił się przejechać i skaleczyć tramwajowi dla zbadania pokątnych lekarzów i pokątnych adwokatów, którzy mu istotnie ofiarowali swoje usługi w dochodzeniu szkód i strat na towarzystwie tramwajowem. Przed tymi ogarami biedny Saint-Saëns, jak szczwany jeleń, uciekł z Paryża na prowincyę, stamtąd do Hiszpanii, na wyspy Kanaryjskie, a wreszcie i tam wytropiony skrył się gdzieś w Afryce, ażeby odpocząć. Nasi reporterzy nie dosięgli ani sprytu, ani odwagi, ani bohaterstwa amerykańskich, już jednak wywierają dość znaczny wpływ na bieg życia. Oni decydują, co ogół ma sądzić o ludziach i rzeczach, oni mu oznaczają pory i rodzaje zabaw, oni umieją zniżyć przedmioty wielkie a podwyższyć małe, oni tworzą sławę i niesławę, zapewniają tryumfy i porażki. Jeżeli im się podoba, ażeby 10,000 ludzi obejrzało pierwszy słup wiorstowy przy szosie radomskiej lub psa kolonisty w Jabłonnie, niezawodnie tego dokażą. W ich też ręku głównie spoczywają dalsze losy „Dzikiej Ameryki.“ Może dla wielu przykrą jest myśl tej zawisłości ogółu od garstki osobników pośledniego gatunku, ale cóż na to poradzić? Sarkał świat na to, że nim rządziły kobiety, niechże teraz cieszy się władztwem reporterów. Od wieków zawsze panowało nad nim jakieś głupstwo, a to nie gorsze od innych.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Bohaterstwo naszego kapitału. — Emigracya ludowa z gub. płockiej. — Pan Gloger, jako dobry przewodnik ech przeszłości.

Płock doczeka się „niebawem“ bardziej cywilizowanego sposobu spożywania pewnej części szarych fal Wisły, jednego z darmych dóbr natury. Magistrat tego grodu robi starania o sprawienie mieszkańcom, a raczej podatnikom swoim — wodociągu. Zgadnijcie, kto ma uwieńczyć owe starania ojców miasta? Sam mając wstręt wrodzony do zagadek i rebusów, wyręczę waszą domyślność. Tym dobroczyńcą ma być, jeśli niezupełnie rodzimy, gdyż niezgodny z rodowodami „folblutyzmu“ rasowego, to przynajmniej miejscowy kapitał. Na konkurs rozpisany w czerwcu zeszłego roku złożyły oferty aż trzy firmy: Warszawskie Towarzystwo techniczne „Slawonia,“ pp. Kuksz i Lüdtke, oraz inżenier-przedsiębiorca z Moskwy, Hassen. Ponieważ z warunków, podanych przez trzech współzawodników, pp. Kuksza i Lüdtke były najodpowiedniejsze dla miasta, przeto się utrzymały. Dalsze rokowania z wyróżnioną firmą dostarczyły następujących szczegółów. Pp. K. i L. obowiązują się: zbudować wyłącznie własnym kosztem wodociąg (przy cegielni Blumberga pod samem miastem), oraz wodozbiór w najwyższym punkcie Płocka (koło rogatki Płońskiej); rozprowadzić sieć rur po mieście, ustawić w różnych punktach miasta kilka zbiorników do czerpania wody, założyć kilkanaście kranów pożarnych itp. Wszystkie roboty wodociągowe mają być dokonane w ciągu dwóch lat. Koszty ich w przybliżeniu wyniosą 250,000 rubli. Wszystkie biura i instytucye miejskie oraz rządowe, jako też wodotryski na skwerach i w ogrodach publicznych miejskich przedsiębiorstwo obowiązane będzie zaopatrywać w wodę darmo, w stosunku 10% jej ilości spotrzebowywanej dziennie. Kaucyę w wysokości 4,000 rs., złożoną przez przedsiębiorców, miasto zatrzymuje przy sobie aż do uskutecznienia wszystkich ich zobowiązań. Za tyle ofiar i poświęceń magistrat płocki odwdzięczyć się ma przedsiębiorcom *tylko* oddaniem im wodociągów na czterdziestoletnią eksploatacyę, która przy 40 kopiejkach od 100 wiader spożytej wody pozwoliłaby nietylko umorzyć włożony kapitał, lecz zapewniłaby poważny jego przyrost. Pp. Kuksz i Lüdtke zapewne wyższe mieli wyobrażenie o wysokości wymaganych ofiar, skoro postawili miastu za warunek nietylko poręczenie rozchodu $3\frac{1}{2}$ wiader wody dziennie na głowę, lecz monopol wyłącznego przez siebie szafunku tego „daru nieba,“ tj. żeby z dniem puszczenia maszyn w ruch wozi- i nosiwodzi nie śmieli dostarczać mieszkańcom Płocka wody. Zaiste, rzadki wypadek bojaźni ze strony szczupaka, który ma zamiar w wspólnej sadzawce żyć obok narybku — narybkiem. Nasz wielki kapitał tak mało jeszcze czuje swe rozmiary i zdolności, że po każdym dowodzie bohaterstwa inicyatywy na szerszem polu przedsiębiorstwa krajowego oglądać się musi za sztucznemi podporami monopolu. Naturalnie warunek ten, jako nacechowany niesprawiedliwością, został odtrącony. Słusznie rząd gubernialny motywował odmowę tego przywileju faktem, iż według prawa woda, przepływająca pod miastem, jest własnością publiczną. Wynik współzawodnictwa machin z siłą mięśniową nosiwody jest z góry przewidziany, tem bardziej, że obecnie za 100 kubłów mętów wiślanych płaci się w Płocku 3 rs., gdy pp. Kuksz i Lüdtke podejmują się dostarczać 100 wiader świeżej i filtrowanej wody za 40 kop....

Prus w *Kuryerze codziennym*, a korespondent z Lipnowskiego w *Gazecie warszawskiej*, każdy na swój sposób, wyzyskali materyał statystyczny, dotyczący emigracyi z gub. płockiej. Żałujemy, że zamiast z bezpośredniego źródła, tj. *Pamiętnika gub płockiej* („Pamiatnaja knižka“) za rok 1889, gdzie z inicyatywy gubernatora. p. Millera, zebrane dane o wychodźtwie ludowem zostały zawarte, musimy je czerpać z drugiej ręki, czyli wygrzebywać z alembika publicystów. Faktyczna strona emigracyi, na podstawie rzeczonych danych, przedstawia się w następujący sposób: Od roku 1863 do 1888 wyemigrowało z gub. płockiej 4,837 osób. Z tej liczby od 1863 do 1872 wywędrowało tylko 424 osób, od 1873 do 1882 — 835, od roku zaś 1883 do 1888 — 3,578. W ostatniem sześcioleciu, według pojedynczych lat, liczba wychodźców rozpada się tak: w 1883 r. 184 osoby, w 1884 — 279, 1885 — 350, w 1886 — 553, w 1887 — 934 i nareszcie w 1888 aż 1,278! Widzimy więc w ciągu ostatnich kilku lat postępujący wzrost wychodźstwa. Co do kierunku emigracyi, najwięcej (4,514 osób) odpłynęło wychodźców do Ameryki. Według stanów emigranci rozdzielają się: na szlachtę (25 osób, czyli 0,51%), mieszczan (1,325, czyli 27,43%), włościan (3,485, czyli 72,06%). W liczbie mieszczan żydów było 1,089, czyli 22,51%. Według powiatów liczby emigrantów przedstawiają się w następującym porządku: powiat rypiński 2,132 wychodźców, pow. lipnowski — 789, pow. przasnyski — 507, sierpecki — 399, mławski — 360, ciechanowski — 316, płocki — 202, płoń-

ski — 132. Wychodźstwo zwiększa się ku granicy pruskiej i bardzo być może nie tyle skutkiem łatwiejszej stamtąd wędrówki „idei emigracyjnej,“ ile z innych względów natury technicznej. Powody emigracyi są: chęć poprawienia bytu, 3,194 wychodźców, czyli 66,03%, ucieczka od powinności wojskowej — 292, czyli 6,03%, chęć uniknięcia kary za przestępstwa — 26, czyli 0,53%, z niewiadomych przyczyn—266, czyli 5,26%. Między zbiegami przed wojskiem było 200 żydów, czyli 68,49% wszystkich wychodźców tej kategoryi. Ale najpoważniejsza liczba emigruje z płockiego w chęci polepszenia bytu materyalnego. To też bezpośrednim powodem szybkiego wzrostu wychodźstwa są czynniki ekonomiczne: ostatnioletnie przesilenie rolne i słabo rozwinięty przemysł fabryczny. To są przyczyny „chwilowe i specyalne“ jak szanowny autor „Placówki“ twierdzi — zgoda! Trudniejsza sprawa dla nas wykrycia w naszym kraju „przyczyn ciągłych,“ które znakomitemu humoryście udało się wyśledzić. Przyczyny ciągłe, to jest przyrost ludności, zagęszczanie się jej — zanadto przyrodnicze piętno noszą u Prusa. Niestety, zawdzięczając właściwościom dzisiejszej budowy społecznej, o ile wiadomo, t. z. *przeludnienie bezwzględne*, zależne od przyrostu, a zatem od potencyalnych sił natury, mogących utrzymać go, daleko opieszalej występuje na jaw jako czynnik wychodźstwa, niżeli t. z. *przeludnienie względne*, będące w związku ze stopniem przewagi przywilejów własnościowych, a zatem zależne od ustosunkowania środków produkcyi do pracy, od podziału dochodu społecznego... Rozpatrywanie zaludnienia kraju w stosunku do danej jednostki przestrzeniowej, bez wciągania innych czynników do obliczeń (jak to Prus dla prostoty robi), jest samo w sobie mało mówiące i jednostronnie powierzchowne — niepotrzebnie wskrzesza pamięć rozwianego w proch Malthusa. A teraz jeszcze jedna uwaga. „Pamiątnaja knižka“ napomyka o agenturach emigracyjnych, które mają rozsyłać swoich apostołów w Płockie i zachęcać przez nich do wychodźstwa. Los wychodźców w Ameryce ma być bardzo smutny, a to na zasadzie faktu, iż z 2,765 emigrantów, którzy odpłynęli pomiędzy r. 1886—1888, wróciło do kraju 890 osób. Według *Gaz. warsz.* agenci emigracyjni mają nie odgrywać żadnej roli w gub. płockiej. Wychodźcy udają się do Ameryki zachęceni wiadomościami otrzymanemi od krewnych i znajomych, po przybyciu na miejsce prawie zawsze mają zapewnioną robotę, najczęściej jaki krewniak przysyła im kartę okrętową na przejazd, opłaconą w Ameryce. W tym ostatnim razie znane są wypadki, gdy włościanin, mając zaledwie 10—15 rubli w kieszeni, udaje się na drugą półkulę po lepszą dolę. Zwykle wychodźcy biorą ze sobą 80—100 rubli, z tych 50 na podróż, a resztę na wypadek nieznalezienia natychmiastowej roboty. Brutalne wygnanie robotników polskich z Prus i upadek przemytnictwa pogranicznego (skutkiem podniesionej w Prusach akcyzy od spirytusu, tańszego przedtem o 75% od miejscowego), to jest gałęzi zarobkowania, która pozwalała przemytnikowi zebrać w ciągu miesięcy letnich przeszło 100 rs. — niewątpliwie przyspieszają odpływ ludności za ocean, ale najbardziej ma na wychodźstwo wpływać powodzenie emigrantów. „Nie znam wypadku — powiada korespondent— aby włościaninowi wychodźcy z gub. płockiej źle się dziać miało na drugiej półkuli, a niektórzy z nich mają prawdziwie wyjątkowe powodzenie. Wiadomy mi jest fakt, że włościanin z pow. lipnowskiego, który wyemigrował w kwietniu roku zeszłego, przysłał żonie do tej pory 350 rs. W naszym kraju wyrobnik całe życie ciężko pracując, takiej sumy rodzinie nie pozostawi po sobie. Nic więc dziwnego, że z tej wsi, skąd pochodził wspomniany wychodźca, wyemigrowało w tym roku siedmiu.“ Albo znów inny wypadek. Zamożny gospodarz z byłej królewszczyzny, ex-wójt, mając zamiar podzielić majątek pomiędzy dzieci, wezwał syna z Ameryki. Syn wrócił, ale pozostać nie chciał, chociaż na dział jego wypadało 15 morgów dobrej ziemi i 500 rs. gotówką. „Ja, proszę pana — skarżył się były wójt— na mój stary rozum nie pojmuję, co się teraz dzieje na świecie. Myślałem, że mi syn do nóg upadnie, a on mówi, że nie miałem go po co sprowadzać. Niech ojciec — powiada — gospodarzy dalej na mojej części i pieniądze zatrzyma, dodam jeszcze ojcu 800 rs., aby mi ich nie skradli, a sam wrócę do Ameryki, tam mam lepszy zarobek, a kiej więcej zbiorę, to przyjadę. Toć ja miałem 1½ włóki gruntu i 40 lat krwawo pracować musiałem, żeby zebrać 1,500 rs., a on do Ameryki z gołemi rękoma temu dwa lata pojechał i, rozbijając kamienie, potrafił uciułać 800 i żył, powiada, jak pan, codzień mięso jadł.“ Prosty wyrobnik z powiatu lipnowskiego, dostawszy się w Ameryce do kupca handlującego drzewem, jest dozorcą tratew i dostaje 10 dolarów dziennie. Pisał do żony, że skoro wróci do kraju, kupi dwie włóki ziemi. Inny wychodźca, służący dworski, doniósł rodzinie, że ma w banku złożone 3,000 dolarów. W zeszłym roku do pow. rypińskiego wrócił włościanin po czteroletnim pobycie w Ameryce z 1,700 rublami. Nie dość tego, wychodźcy przysyłają znaczne sumy rodzinom pozostałym w kraju. Są miesiące, gdy poczta w Rypinie odbiera przeszło 10,050 rs. t. z. „amerykańskich“ pieniędzy; często przesyłki jednorazowe wynoszą po 500 rs.! Większość włościan-wychodźców wyjeżdża do Ameryki z zamiarem powrotu i dopiero pozostają na zawsze w nowej ojczyźnie, gdy znajdą w blizkości księdza i kościół. Wtedy sprowadzają rodziny. Wychodźca z Płockiego nie troszczy się o przejście granicy: wielu z nich jeszcze w czasie „szwarcu“ poznało wszystkie przesmyki. Szczególna rzecz, iż ludność pograniczna zna lepiej i dokładniej stosunki amerykańskie, niż powiatów sąsiednich. Chłop z gub. płockiej bardziej by się namyślał nad podróżą do gubernii sąsiedniej — jak zapewnia korespondent — niżeli do Ameryki. Wie wyśmienicie, ile podróż kosztuje, kiedy okręty odchodzą z Bremy lub Hamburga i na który pociąg trzeba wsiąść w Toruniu, żeby na niego trafić. Są wychodźcy, którzy od kilku lat jeżdżą co rok na wiosnę za ocean, a na zimę wracają do kraju. To też wyjaśnia się zagadka, czemu od pewnego czasu zewnętrznie (brak samorodnych strojów ludowych) i wewnętrznie (śmiałość iście marynarska) — płockie wygląda najpostępowiej. Duch postępu z innych prowincyj kraju uciekł w Płockie.

Nie dziwimy się też nierównowadze duchowej byłego wójta z Lipnowskiego wobec tak rdzennie zmienionych warunków życia u nas, a raczej wobec prądu unoszącego dzisiejsze pokolenia w kierunku lepszego dobrobytu. Wójt jest człowiekiem zapewne starszym, niżeli p. Zygmunt Gloger, który mniej więcej takiemi samemi słowy wyraża swe zdumienie w *Kuryerze warszawskim* na widok zaszłych zmian w otoczeniu dzisiejszem, miota się na dzisiejszem podścieliśku, jak ryba wyrzucona ręką psotnika z właściwego żywiołu (ze złotego okresu dobrych czasów feodalno - patryarchalnych). Że p. G. zapragnął szkoły, tresującej dobre kucharki, klucznice i tym podobne służebnice dworskie, nie mamy mu za złe. Przykro nam tylko, że studya archeologiczne, któremi szanowny ziemianin się zajmuje, tak głęboko zestarożytniły jego pogląd na sprawy społeczne. Oto próbka: „Zdaniem naszem — powiada p. G. — przydałaby się bardzo dobra książeczka, nie poważny morał, ale obrazowe opowiadanie: o pożytku uczenia się gospodarstwa domowego, o *zamiłowaniu życia na wsi*, o *obowiązkach i zaletach dawnych sług i szafarek*, o rozumnym zwyczaju ubierania się sług francuskich w skromny jednakowy kostium, a *naganném* u nas ubieganiu się za modą i o *naśladowaniu pań**), o pracy (lokajskiej?), która *nikogo* (!) nie hańbi itd.“ P. G., jako skończony „laudator temporis acti,“ wzdycha do tych ubiegłych, drogich czasów, kiedy to „biedne wdowy po oficyalistach lub ich córki, które, jeżeli za mąż nie wyszły, służyły nieraz *całe życie w jednym domu.*“ „Cała klasa tych pożytecznych (piekły smaczne pierniki dla państwa oraz inne smakołyki!) istot dziś już prawie wygasła, wymarła.“ A wszystkiemu winny koleje żelazne, które „zrobiły z wioski (gdzie, dodajmy nawiasem, za małe pieniądze chciałoby się po wsze czasy mieć najemnika) rodzaj przedmieścia Warszawy.“ To też p. G. przytłoczony żalem za przeszłością, nie potrafił głębszej przyczyny wynaleźć imigracyi ludności do miast, tylko najniefortunniejszą, pierwszą z brzega: że „miasto jest takim samym nałogiem, jak każdy inny,“ bo dziewczyna, która kilka lat przemieszkała w niem (i, dodajmy, wyższej skosztowała kultury), nie chce już wrócić do ciszy sielskiej — w najszerszem znaczeniu tego wyrazu.

Doprawdy, kiedy się słyszy wokoło siebie coraz tłumniejsze głosy w prasie, stare i młode (niestety!), nawołujące do wstecznictwa, strach ogarnia mimowoli i, gdyby nie iskierka nadziei, naturom wrażliwym pozostaje jedna chyba Ameryka, jako ucieczka od wszelkiego rodzaju pognębień zacofańczych.

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Otwarcie czynności Banku włościańskiego.

Bank włościański został puszczony w ruch. Nastąpiło to 2 maja. Tegoż samego dnia odbyło się pierwsze posiedzenie, na którem rozpatrywano dwa podania o nabycie gruntów przy pośrednictwie Banku przez wsi Łąkoszyn-Leszczynek gminy Kutno, pow. kutnowski, gub. warszawskiej. Majątki te nabywają dwie spółki włościańskie: jedna 35 gospodarstw (92 głów) licząca, druga— 14 gospodarstw (31 głów). Pierwsza zakupuje 240 morgów 293 pręty za 26,593 rs. i żąda pożyczki od Banku w sumie 17,500 rs., dopłacając resztę z własnych funduszów. Druga zaś nabywa 88 morgów 65 prętów za 8,677 rs., pożycza 6,700 rubli, a resztę sama dopłaci. Na udzielenie tych pożyczek oddział warszawski Banku przystaje.

Stała wystawa towarów wywozowych.

Słowo stało się ciałem — oddawna zapowiadana „stała wystawa prób i wzorów towarów wywozowych“ została otwartą. Dotychczas zebrało się dopiero 52 wystawców, 198 miejsc, jakkolwiek opłaconych już, świeci jeszcze pustkami. Z warszawskich wystawców okazały swe wyroby aż 24 firmy. Łódź wystąpiła z okazami fabryk: Scheiblera, Hintza, Hüffera, Endego, Heinzel i Kunitzera, Schmitda i Pfilzego oraz Wiklera i Gertnera. Z Częstochowy próby wyrobów dała tylko jedna fabryka przędzy i sznurków z lnu i konopi (firma Goldstein, Oderfeld i Openheim). Zakłady przemysłowe Druckich-Lubeckich w Ćmielowie porcelanę malowaną i majoliki, a odlewnia żelaza w Kamiennej pod Bzinem garnki emaliowane.

*) Przy sposobności mała uwaga. Gdyby nie to, że p. G. chwalebnie brzydzi się „szczebiotem francuskim, poradziłbym mu ogłoszenie konkursu: „O wynalezieniu takiego stroju dla pań wobec naśladownictwa zuchwałego sług, któryby je w podobny sposób odgradzał od plebsu, jak francuzczyzna wobec powszechnie używanego przez pospólstwo języka rodowitego.“ *Przyp autora.*

Dom sierot.

Sprawozdanie z funduszów i czynności warszawskiego Domu sierot za r. 1889 przynosi następujące dane. Majątek Domu sierot, składający się z nieruchomości nr. 14 przy ulicy Litewskiej, z papierów publicznych, sumy hypotecznej, ofiarowanej przez br. Lenvala, wynosił 90,799 rs. 78 kop. Kapitał żelazny powiększył się przez rozmaite ofiary o 7,100 rs. i czyni obecnie 49,585 rs. 75 kop. Dochody wynosiły w roku sprawozdawczym 4,905 rs. 5 kop., wydatki 3,284 rs. 88 kop. Z końcem roku zeszłego w zakładzie znajdowało się 20 wychowańców. Ponieważ po zamknięciu bilansu okazała się w funduszach etatowych przewyżka 1,620 rs. 17 k., przeto na rok bieżący zarząd postanowił powiększyć liczbę sierot. Żeby dać wyobrażenie, jakie są nianki tej instytucyi filantropijnej, wymieniamy niektórych członków zarządu: pp. Karol Szlenkier, prezydujący, Adolf Scholtze, wiceprezydujący, Emilia Blochowa, ks. Chełmicki, Ludwik Orthwein itd.— członkowie. Czegoż więcej trzeba?..

Tanie kuchnie.

Choć żółwim krokiem, ale idziemy śladem Europy. W ostatnich czasach Oddział tanich kuchen m. Warszawy dostarczył nam poważnych oznak dążności do rozwoju. Na posiedzeniu, w d. 28 kwietnia b. r., projekt otworzenia taniej kuchni w okolicy ulic Czerniakowskiej i Solca wprowadzono „na dobrą drogę.“ Obecni na posiedzeniu przedstawiciele fabryk, położonych przy wzmiankowanych ulicach, oświadczyli się za nią. Tworkowski, właściciel oraz reprezentanci fabryk Scholtzego, Kijewskiego itp. i Rudzkiego, pp. Gustaw Schlike i Czarnowski przyjęli na siebie obowiązek porozumienia się z innymi fabrykantami w sprawie obmyślenia fundussu zakładowego dla kuchni taniej. O wyniku swych usiłowań zawiadomić mają Oddział dnia 12 maja. Zamiarem zarządu jest, aby przyszła kuchnia wydawała od godz. 5 do 8½ śniadania złożone z dobrego, gorącego mleka, krupniku lub grochówki z chlebem; od 11 do 2 obiady, składające się z zupy, mięsa i jarzyny, a nareszcie wieczorem od 6 do 8 herbatę z buterszitami lub posilną jarzyną. Istotnie, wpłynąć to może na lepsze odżywianie się robotników, posilających się zwykle dotychczas jadłem zimnem. Koszty założenia i zaopatrzenia w zapas wiktuałów kuchni wynoszą niezbyt wygórowaną sumę 2,000 rs., o które tyle jeszcze w przyszłości trzeba będzie podjąć usiłowań, dla uprawiedliwienia mocno wychwalanej przez *Kuryery* ofiarności naszych filantropów. Jeśli kuchnia przy ulicy Czerniakowskiej dojdzie do skutku, mają być w przyszłości otwarte jeszcze na Lesznie, na końcu ul. Marszałkowskiej, na Chmielnej i na Pradze, wogóle w okolicach fabrycznych.

Szkoły. Minister oświaty zawezwał kuratorów okręgów naukowych, ażeby wyjaśnili radom szkolnym, że wszystkie otwierane po wsiach szkółki elementarne podlegają zarządowi zwierzchności duchownej i że do niej zwracać się mają gminy, pragnące posiadać takie szkoły.

— *Pet. Wied.* donoszą, iż w sferach rządowych powstała myśl zupełnego zreformowania instytutu politechnicznego w Rydze.

— W rozkazie policyjnym zamieszczono listę 34 studentów uniwersytetu warszawskiego, wydalonych za niepłacenie wpisu.

— Zmarły niedawno w Petersburgu prof. Roszer pozostawił zapisy na stypendya w uniwersytecie warszawskim oraz gimnazyach: kijowskiem, żytomierskiem, kamienieckiem, mińskiem i wileńskiem.

— Mieszkańcy Łowicza czynią starania o otworzenie w tem mieście szkoły zawodowej nowego typu, wskazując jako dogodne pomieszczenie zakładu jeden z miejscowych gmachów poduchownych.

— W d. 12 b. m. rozpoczną się piśmienne egzaminy we wszystkich gimnazyach klasycznych dla uczniów kończących ósmą klasę i zdających z domowego wychowania.

— *Now. Wr.* pisze: „Wr. z. ministeryum oświaty wydało specyalną instrukcyę o wykładzie gimnastyki w szkołach. Przepisy te zalecają każdemu zakładowi urządzać dla uczniów wycieczki zamiejskie trzy razy do roku. W Petersburgu żadne dotychczas gimnazyum nie skorzystało z tego pozwolenia. Tymczasem na prowincyi prawie we wszystkich miastach urządzane są takie wycieczki. Wpływa to bardzo korzystnie na odświeżenie umysłu młodzieży.“

— W Lublinie odbędzie się koncert i przedstawienie amatorskie na wpisy dla uczniów miejscowego gimnazyum.

— Podobno p. Jan Bloch ma przeznaczyć swój gmach po byłej fabryce tytoniu „Union“ na urządzenie szkoły politechnicznej.

— W ministeryum oświaty utworzony będzie departament szkół technicznych.

Wystawy. Stałą wystawę prób i wzorów towarów do wywozu otwarto w Warszawie.

— Wystawa wszechświatowa na wzór zeszłorocznej będzie i tego roku otwarta w drugiej połowie lipca. Jednocześnie tworzy się w Warszawie oddział miejscowy, który się ma zająć pośredniczeniem między Paryżem a Warszawą.

— W Kolonii odbędzie się wielka wystawa wojskowa.

— W Edymburgu w tych dniach otwarto międzynarodową wystawę przemysłu i sztuki.

— W Lipsku otwarto stałą wystawę rzemieślniczą.

— W Hall będzie otwarta tego lata wystawa starożytności tyrolskich.

Zjazdy. W jesieni ma się odbyć w Kijowie, Pradze lub Belgradzie zjazd naukowy słowiański w sprawie wprowadzenia jednostajnego alfabetu Kirylicy u wszystkich słowian i ustanowienia jednakich form języka w literaturze.

Wiadomości społeczne. P. Ludwik Cybulski, obywatel z Płocka, zamierza oddać swój dom na urządzenie filii Instytutu głuchoniemych na 25 wychowańców, rodem z gub. płockiej.

— Zapowiedziane w przeszłym roku, a następnie czasowo wstrzymane ograniczenie liczby urzędników warszawskiego kantoru Banku państwa, wprowadzone zostanie w połowie r. b. Od tego terminu skład osobisty urzędników zmniejszy się o 38 osób, które korzystać będą z praw spadłych z etatu.

— W d. 4 b. m. odbyło się w Petersburgu pierwsze zebranie zatwierdzonego niedawno Towarzystwa trzeźwości. Zadaniem jego jest przeciwdziałać pijaństwu za pomocą lecznicy dla alkoholistów, jadłodajni, herbaciarni, czytelni i rozpowszechniania książek treści moralnej, urządzania pogadanek i zabaw, bez sprzedaży mocnych trunków, oraz tworzenia kółek wstrzemięźliwości.

— W Konstantynopolu na mocy rozporządzenia sułtana będzie założony wielki przytułek państwowy dla ubogiej ludności wszelkich wyznań i narodowości, zamieszkujących Turcyę. Oprócz sal do nauk i pracy będą w obrębie przytułku: meczet, kościół i synagoga.

— Z legatu zm. dr. Ignacego Gołębiowskiego zawakowało stypendyum w kwocie 250 rs. rocznie dla studenta wydziału medycznego uniwersytetu warszawskiego. Kandydatem może być krewny zapisodawcy, lub w braku takiego inny student niezamożny. Podania do 15 września r. b. (kancelarya Tow. lekarskiego).

— Minister spraw wewnętrznych wniósł do Rady państwa projekt ustawy kasy emerytalnej oszczędnościowej dla farmaceutów, weterynarzy, felczerów i akuszerek.

— W Chemnitz właściciele kopalń rudy żelaznej postanowili utworzyć związek dla chemnickiego okręgu przemysłowego, na wzór ogólno-niemieckiego stowarzyszenia dla wspólnej obrony przed zmowami robotniczemi.

— Dla przybyłych kolonistów niemieckich z Zachodu, komisya kolonizacyjna postanowiła zwrócić każdemu koloniście, przebywającemu przeszło 300 kilometrów drogi, koszty podróży za każdą osobę, oraz wydatki za jeden wagon, użyty do przewozu sprzętów, narzędzi, dobytku itd.

— W osadzie Iłży (gub. radomska) powstaje stowarzyszenie spożywcze, na wzór sandomierskiego.

— Z inicyatywy kilku kapitalistów ruskich ma być założone Towarzystwo ubezpieczenia na wypadek kradzieży koni.

Zdrowie publiczne. Rada miejska dobroczynności publicznej dla zebrania dokładnych szczegółów o liczbie chorych, leczonych w szpitalach warszawskich (jako materyał do projektu podwyższenia opłaty szpitalnej), zażądała dostarczenia tych danych za ostatnie trzy lata.

— *Zdrowie* pisze: „Obecnie istnieje projekt pogłównego szczepienia ospy ochronnej w r. b., a nadto na cel powyższy wyjednaną zapewne wkrótce będzie suma 2,000 rs., oraz jednocześnie 5,000 na przegląd sanitarny Warszawy i na opracowanie wyników tego przeglądu. Również na karb postępu w działalności urzędu lekarskiego położyć należy przedstawienie, aby na przyszłość posady t. zw. lekarzy służby policyjnej udzielane były drogą konkursu.“

— Mając na względzie polepszenie warunków zdrowotnych w prywatnych zakładach naukowych i chederach, p. o. oberpolicmajstra Warszawy polecił komisarzom cyrkułowym zobowiązać utrzymujących powyższe zakłady, aby w nich bezwarunkowo były urządzone prawidłowe wentylatory i aby ściany nie były tapetowane, lecz co najmniej dwa razy do roku wybielone wapnem, lub malowane farbą nieszkodliwą dla organizmu.

Sprawy kolejowe. W Białymstoku wybudowany będzie dworzec centralny dla wszystkich schodzących się tam kolei.

— Dyrektorem rządowym kolei Dąbrowskiej mianowany został p. Koronatow.

— Projekt budowy nowej linii od Krasnowodska do stacyi Mołła-Kara kolei Zakaspijskiej został zatwierdzony przez ministra wojny.

— Przedsiębiorstwo bufetów w wagonach pociągów osobowych wzięła na siebie spółka kapitalistów angielskich.

— Zarząd kolei Kozłowsko-Woronezko-Rostowskiej wprowadza telefon do obsługiwania linii na całej jej długości. Przeznaczono na to 100,000 rs.

Zmarli. Chruszczow-Sokolnikow, w Paryżu, powieściopisarz i dziennikarz ruski.

— Otto Reinsdorf, w Berlinie, kompozytor i krytyk muzyczny.

— Ludwik Holthansen, malarz i długoletni inspektor Akademii sztuk pięknych w Düsseldorfie.

— Schrenk, uczony botanik, w New-Yorku.

— Jan Mittelstaedt, obywatel ziemski i ekonomista.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

„*Ognisko*“ *w Wiedniu.* Po zniżonej cenie rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).

Wielu pytającym. „Psychologię dziecka,“ która jest już gotową i „Encyklopedyę dla dzieci,“ która się drukuje, wydamy niezawodnie za kilka miesięcy. Księgarnia Gebethnera i Wolffa nie wydaje wcale całkowitej psychologii dziecka, ale pierwszy tom materyałów Pereza.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Sprostowanie. W numerze poprzednim, na str. 214, szp. 1, wiersz 42, 43 i 44 brzmieć powinny: „Kto wie, *jak długo* w. ks. Mość używać będzie spokoju. Pomyślmy tylko o dawnym rzymianinie, *Cyncynacie*.“

— W nr. 12 *Prawdy*, na str. 136, w artykule „O wystawie paryskiej,“ z powodu podobieństwa nazwisk Giffard'a i Girard'a, oraz nieuwagi autora, zaszła pomyłka, którą niniejszem prostuję. Wszystko, co powiedziano o Giffardzie, wynalazcy inżektora, jest słusznem, ale w tem miejscu niepotrzebnem, bowiem żadnej tożsamości nazwisk pomiędzy nim a Girardem, wynalazcą kolei wodno-łyżwowej, niema. Ten ostatni znany powszechnie z powodu turbiny, która nosi jego nazwisko, mylnie jest nazywany w rzeczonym artykule Giffardem; lecz po za tą pomyłką żadne inne szczegóły artykułu zmianie nie podlegają.

A. Pawłowski.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 27 Апрѣля 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**